WIDNOKRĄG

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI" Nr 2 (380) 12 stycznia 1969 r.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Marian Janiga

O PORADNICTWIE ZAWODOWYM I WYCHOWAWCZYM

Staraniem Kuratorium Okręgu Szkolnego w Rzeszowie do 1970 r. w każdym powiecie naszego województwa działać będzie Poradnia Wychowawczo-Zawodowa. Dotychczas istnieje jedenaście takich poradni. W zdecydowanej większości są to placówki nowo powstałe. Jedynie Okręgowa Poradnia Wychowawczo-Zawodowa w Rzeszowie kierowana od chwili powstania przez mgr Krystynę Kulową obchodziła w 1968 roku 10-lecie istnienia. Ponieważ systematycznie wzrasta ilość osób korzystających z usług tych placówek, kilka informacji o ich pracy. Jaki jest cel i jakie są zadania poradni wychowawczo-zawodowych?

Zostały one powołane na mocy szeregu zarządzeń ministra Oświaty i Szkolnictwa Wyższego, w celu pomocy szkołom i innym placówkom oświatowo-wychowawczym oraz rodzicom w rozwiązywaniu problemów wychowawczych. Do zadań poradni powiatowej (dzielnicowej) należy:

a) udzielanie pomocy nauczycielom (wychowawcom) przede wszystkim szkoły podstawowej w zakresie:

— wykrywania przyczyn niepowodzeń w nauce pewnej grupy uczniów i trudności wychowawczych oraz udzielania fachowych konsultacji w sprawie zapobiegania i pokonywania tych trudności,

— rozpoznawanie u dzieci odchyleń od normy w rozwoju,

— przygotowanie uczniów do wyboru właściwego zawodu, zgodnie z ich indywidualnymi uzdolnieniami i zainteresowaniami oraz zgodnie z potrzebami gospodarki narodowej, a w związku z tym udzielanie niezbędnego instruktażu i przekazywanie materiałów pomocniczych,

b) udzielanie pomocy rodzicom (opiekunom) w zakresie rozwiązywania trudności wychowawczych z dziećmi oraz wyboru dla nich najodpowiedniejszego zawodu i kierunku studiów,

c) wydawanie opinii o dziecku na użytek odpowiednich instytucji oświatowo-wychowawczych i innych, w oparciu o przeprowadzone badania psychologiczne i lekarskie oraz wywiady na terenie domu i szkoły,

d) współpraca z powiatowymi komisjami w zakresie rekrutacji do pełnych i niepełnych szkół średnich, z komisjami selekcyjnymi, z komisjami d/s kwalifikowania dzieci do różnych form opieki i pomocy materialnej przy wydziałach oświaty i kultury, z wydziałami zatrudnienia prezydiów powiatowych rad narodowych oraz instytucjami i organizacjami społecznymi zainteresowanymi problemami wychowania dzieci i młodzieży.

W poradniach zatrudnieni są pracownicy pedagogiczni (nauczyciel — psycholog posiadający studia wyższe w zakresie psychologii i kilkuletni staż pracy jako nauczyciel szkoły podstawowej i średniej, nauczyciel — pedagog posiadający studia wyższe w zakresie pedagogiki i kilkuletni staż pracy w szkole lub innej instytucji wychowawczej), lekarze, (pediatra, psychiatra — neurolog, okulista, lekarz ze specjalnością medycyna przemysłowa lub higiena szkolna) oraz pracownicy administracji i obsługi.

Na przykładzie Powiatowej Poradni Wychowawczo-Zawodowej w Gorlicach chciałbym pokazać osiągnięcia i trudności w pracy tego typu placówek w naszym województwie. Do tych uogólnień upoważniają mnie m. in. liczne rozmowy, jakie przeprowadzam z kolegami pracującymi w poszczególnych powiatowych poradniach.

Do poważnych osiągnięć istniejących już w naszym województwie poradni wychowawczo-zawodowych należy właściwe pokierowanie tysięcy młodzieży do odpowiednich dla nich szkół średnich i wyższych. Przeprowadzone badania statystyczne jedynie na terenie liceów medycznych, gdzie badania psychologiczne przed wstąpieniem do szkoły są obowiązkowe — wykazały wyraźny spadek odsiewu. Powstaje jednak pytanie czy istniejące poradnie mogą już dziś zapewnić masowość badań psychologicznych związanych z wyborem zawodu, tzn. czy praktycznie każdy uczeń kończący klasę VIII i każdy maturzysta może skorzystać z usług poradni?

Nie każdy, ponieważ badania psychologiczne związane z wyborem zawodu są czasochłonne (badanie jednej osoby trwa 5 godzin). Nie wszystkie można przeprowadzać zbiorowo. Oprócz tego trzeba jeszcze wyraźnie podkreślić, że poradnictwo zawodowe i wybór zawodu musi być zupełnie dobrowolne. Ma to bowiem duże znaczenie wychowawcze. Psycholog kierując się wiedzą i sumieniem radzi zainteresowanemu uczniowi taki, a nie inny zawód, ostateczną jednak decyzję pozostawia uczniowi. Uczniowie bowiem winni mieć wewnętrzne przekonanie, że należy podejść do problemu z pełną powagą, w czym psycholog może im tylko dopomóc. Przy jakimkolwiek zahamowaniu ze strony ucznia, obojętności lub braku wewnętrznej zgody (na wizytę w poradni, a to właśnie może wystąpić przy badaniach zbiorowych) nie można mówić o pomocy. Natychmiast występuje u niego chęć oszukiwania, przekręcania i ukrywania faktów. Miało to miejsce wtedy, gdy nasze poradnie wydawały zaświadczenia po przeprowadzonych badaniach. Uczniowie i rodzice wizytę w poradni traktowali jako egzamin wstępny i szukali wszelkich sposobów, aby egzamin się udał.

Powszechne zainteresowanie budzi istota i technika badań psychologicznych związanych z wyborem zawodu. W telegraficznym skrócie można podać, że badanie psychologiczne polega na najdokładniejszym poznaniu możliwości psychologicznych jednostki m. in. myśleniu, pamięci, uwagi, zainteresowań, uzdolnień, inteligencji itd. Dokonuje się tego za pomocą testów (prób) psychologicznych. Psy-

(Ciąg dalszy na str. 2)

STANISŁAW WYSPIAŃSKI, autoportret.

Ryszard Dzieszyński

WYSPIAŃSKI NA ZIEMI GORLICKIEJ

15 stycznia 1869 roku urodził się w Krakowie jeden z najwybitniejszych polskich poetów i malarzy, uznawany przez niektórych za Czwartego Wieszcza — Stanisław Wyspiański. Przez całe życie związany był z Krakowem. Tam powstały jego dzieła, tam też został pochowany w Krypcie Zasłużonych na Skałce. Ale przecież jest skrawek Rzeszowszczyzny — ziemia gorlicka, mogący poszczycić się, że swego czasu zwiedził ją Stanisław Wyspiański i że potem darzył przez dłuższy czas zainteresowaniem.

W 1889 r. prof. krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie Władysław Łuszczkiewicz zorganizował przy Polskiej Akademii Umiejętności komisję do spraw badania zabytków historii sztuki W planie pracy komisji znalazła się letnia wyprawa naukowa na Podkarpacie, w celu zinwentaryzowania znajdujących się tam zabytków. Na wyprawę profesor postanowił zabrać pięciu studentów ASP. m. in. Stanisława Wyspiańskiego i Józefa Mehoffera.

Ekipa wyruszyła z Krakowa 25 lipca 1889 r. koleją poprzez Tarnów i Stróże — do Nowego Sącza. Tam została założona główna kwatera wyprawy. Studenci wraz ze swym profesorem rozpoczęli wędrówkę. W ciągu dwóch tygodni odwiedzili Chełmiec, Wielogłowy, Stary Sącz oraz miejscowości leżące obecnie na terenie powiatu gorlickiego: Biecz, Hartę, Libuszę, Binarową, Wilczyska, Jeżów, Ropę, Sękową, Szymbark Bobową. Rysowali zamki, kościoły, klasztory, kaplice, grobowce, bożnice, dawne karczmy i chaty, cenne i zabytkowe sprzęty. Plon wyprawy omówił następnie prof.

(Ciąg dalszy na str. 2)

Ania Żebrowska wśród interpretatorów „Listów śpiewających"

— Dawno Pani nie widzieliśmy w Rzeszowie. Gdzie się Pani podziewa? — wyrywam w „Piwnicy" ZDK WSK z grona przyjaciół z „Meluzyny", laureatkę m. in. nagrody debiutów festiwalu piosenki w Opolu, popularną już dziś na estradzie muzycznej — rzeszowiankę Anię Żebrowską, która z nimi przeżywa przedpremierowe emocje „Szopki". W poprzednich przecież sama brała udział.

— Od nowego roku akademickiego studiuję w Krakowie, w Wyższej Szkole Pedagogicznej, na IV roku. „Zdradziłam" Rzeszów jednak tylko dla studiów, które robię jednocześnie z filologią rosyjską.

?

— Zostałam przyjęta do Studenckiego Studia Aktorów przy Teatrze STU (Studencki Teatr Uczelniany).

— Scena Panią urzekła prawie bez reszty — jak widzę.

— Zajęcia w Studiu Aktorów są ogromnie ciekawe, ale i bardzo trudne. Chciałabym jednak kończąc wyższe studia zdobyć dyplom aktorski.

— Należy życzyć powodzenia! Na razie trzymam kciuki — w myśl uroczego aforyzmu Goethego: „Zabobony są poezją życia".

— A co z piosenką?

— Nagrałam „My mamy kota" z muzyką Adama Sławińskiego do słów Agnieszki Osieckiej, z jej cyklu telewizyjnego „Listy śpiewające". Płyta z muzycznymi listami ma się wkrótce ukazać.

Dla Radiowego Studia Piosenki natomiast nagrałam „Lekcję miłości" z muzyką Abramowa i „Nie mam żalu" — Kurylewicza.

— Jak się udał wyjazd „lingwistyczny" do ZSRR (pamiętamy, że Ania Żebrowska na WSP studiuje filologię rosyjską)?

— Wspaniale! W lipcu zwiedziliśmy Mińsk, Moskwę i Leningrad.

— Co zrobiło największe wrażenie, najbardziej utkwiło w pamięci?

— Pałac letni Piotra I w Leningradzie. Bajeczny! Tego widoku się nie zapomni!

— Wróćmy na naszą ziemię. Najbliższe plany?

— Zdać egzamin z filozofii!! I następne. Zbliża się sesja...

— Rozumiem, współczuję... (vide akapit szósty!).

I dziękuję.

Rozmawiała:
M. C. GUZIOŁEK

Rzeszowskie spotkania

Fot. ADAM KUNYSZ

Laureaci Specjalnej Nagrody Publiczności

Utyskiwania na istnienie „barier" dzielących odbiorcę od twórców zwłaszcza w dziedzinie plastyki miały i mają swoje uzasadnione racje. Nie można jednak odmówić zasług w zbliżaniu odbiorcy do dzieła sztuki działalności Biura Wystaw Artystycznych w Rzeszowie nie ograniczającego swych poczynań tylko do organizowania wystaw.

Ambitne założenia w tej dziedzinie postawił sobie również Klub Międzynarodowej Prasy i Książki „Ruch" w Rzeszowie. W ubiegłym roku z inicjatywy Wydziału Kultury Prez. WRN i MRN, Związku Polskich Artystów Plastyków, Redakcji „Nowin Rzeszowskich" i KMPiK ogłoszono konkurs „Na Najlepszą Grafikę i Rysunek Miesiąca". Pomysł okazał się inicjatywą szczęśliwą. Konkurs zainteresował tak twórców, jak i odbiorców. Konkurs 1968 roku zakończył się pięknym akcentem. Prace wszystkich ubiegłorocznych laureatów eksponowane w kawiarni Klubu MPiK oddano pod ocenę publiczności. W rozpisanej ankiecie wzięło udział około 300 osób. Specjalną Nagrodę Publiczności zdobyli: MARIA SITEŃ i JÓZEF GAZDA.

W ubiegłą niedzielę w kawiarni Klubu, wśród uczestników ankiety rozlosowano 10 nagród książkowych. Z tej okazji, o inicjatywach Klubu mówił jego kierownik **Aleksander Międlar.** Przedstawiciel ZPAP **Adolf Jakubowicz** stwierdził, że organizatorzy konkursu postanowili kontynuować tę inicjatywę w roku 1969, a wyjście z sal wystawowych z pracami plastyków, jest jedną z cennych form podnoszenia kultury plastycznej społeczeństwa. Zarząd Okręgu ZPAP będzie czynił starania, aby nagrodzone prace zostały wydane w specjalnej tece rzeszowskiej grafiki i rysunków. Na ogłoszenie konkursu do Klubu przybył również kierownik Wydziału Kultury Prezydium WRN **Władysław Czajewski.**

* * *

KMPiK, jako konsekwentny mecenas plastyki udzielił ostatnio gościny naszemu redakcyjnemu plastykowi JERZEMU SIENKIEWICZOWI. Artysta eksponuje kilka szkiców ze swojego ostatniego pobytu w Bułgarii. Rysunek „na gorąco" z reporterskiego szkicownika, ukazuje ludzi oraz urok czarnomorskiego wybrzeża i jego architektury.

(g.)

O PORADNICTWIE ZAWODOWYM I WYCHOWAWCZYM

(Ciąg dalszy ze str. 1)

chologowie używają testów charakterologicznych, uzdolnień, wiadomości i inteligencji. Każdy test jest wystandaryzowany (tzn. dostosowany do danego wieku) i posiada klucz rozwiązań. Testy są opracowywane przez Pracownię Psychometryczną PAN. Poradnie powiatowe otrzymują je za pośrednictwem Poradni Okręgowej w Rzeszowie, która równocześnie udziela pomocy instruktażowej wszystkim poradniom wychowawczo-zawodowym na terenie okręgu szkolnego. Testy psychologiczne są wtenczas w pełni wartościowe, gdy nie są znane szerszemu ogółowi i stąd tendencje u wielu psychologów do otaczania ich pewną tajemniczością.

Kilka uwag na temat dzieci opóźnionych w rozwoju umysłowym na terenie naszego województwa. Dotychczas na ten temat niewiele się u nas mówiło, ponieważ nie badano tego zjawiska. Dlatego dosyć często zdarzało się, że uczeń opóźniony w rozwoju umysłowym przez kilka lat powtarzał daną klasę i w rezultacie szkoły nie ukończył. Należy przypuszczać, że powstające poradnie wychowawczo-zawodowe w poszczególnych powiatach w pełni ukażą ten problem. Samo jednak ukazanie problemu nie wystarczy.

Już dziś odczuwa się wyraźny brak miejsc w istniejących na terenie naszego województwa szkołach specjalnych. Rezultat jest taki, że wychowawcy klas prowadzą żmudne obserwacje dzieci podejrzanych o niedorozwój umysłowy, zbierają cały plik odpowiednich zaświadczeń, dziecko jest badane przez psychologa, komisja selekcyjna wydaje orzeczenie, rodzice proszą o umieszczenie go w szkole specjalnej, a w wyniku tych wszystkich zabiegów dziecko nadal pozostaje w normalnej szkole z powodu braku miejsc.

Bardzo ważny odcinek pracy psychologów, pedagogów i lekarzy pracujących w poradniach wychowawczo-zawodowych to pedagogizacja rodziców. W ubiegłym roku szkolnym na jednego pracownika poradni przypadało około 60 wygłoszonych odczytów na uniwersytetach dla rodziców i innych punktach odczytowych. Popularyzacja wiedzy psychologicznej nie jest rzeczą łatwą. Jest jednak duże zapotrzebowanie na tego typu odczyty. Sam byłem świadkiem w wielu wsiach w powiecie gorlickim dużej frekwencji na odczycie, że sala nie mogła pomieścić chętnych. Szeroki wachlarz działalności poradni to poradnictwo wychowawcze. W tym zakresie przeprowadzane są badania psychologiczne dzieci zgłoszonych przez rodziców lub nauczycieli. Są najczęściej dzieci z zaburzeniami charakterologicznymi, trudnościami w nauce, z zaburzeniami zachodzącymi przy nauce czytania i pisania (dysleksja, leworęczność, lewostronność, wadami rozwojowymi, nie posiadające tzw. dojrzałości szkolnej itd). Poważny problem to opieka nad dziećmi nie spełniającymi obowiązku szkolnego. W tym zakresie poradnie współpracują z odpowiednimi organami władz szkolnych, z wydziałami zatrudnienia i wydziałami zdrowia i opieki społecznej prezydiów rad narodowych oraz z instancjami ZHP, ZMS i ZMW, związków zawodowych, FJN itp.

Wyspiański na ziemi gorlickiej

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Łuszczkiewicz na posiedzeniu PAU dnia 14 października 1889 roku, a następnie opublikował opis wycieczki w „Sprawozdaniach Komisji Historii Sztuki" w 1891 r. Jaki był udział Wyspiańskiego w tej wyprawie? Otóż profesor w swoim sprawozdaniu kilkakrotnie wyraża się z uznaniem o uwielbianym uczniu. Wyspiańskiego interesowała szczególnie sztuka ludowa, ornamentyka, architektura drewniana, rzeźba. Zapełnił rysunkami dwa szkicowniki. Była to dla niego dobra szkoła. Wyrobił sobie w rysunku realistycznym techniczną doskonałość, stał się wrażliwy na światło padające na rysowane zabytki, nauczył się odczuwać całą grę świateł i cieni. W rysunkach Wyspiańskiego uderza niezwykła żywość i plastyczność, a ponadto — indywidualne podejście do tematu. Łuszczkiewicz podkreślił w sprawozdaniu, że najwartościowszym plonem wyprawy jest 30 rysunków kamiennych chrzcielnic gotyckich i renesansowych. Owe chrzcielnice rysował właśnie Wyspiański.

W Bieczu młodzi malarze rysowali kościół parafialny i jego wnętrze. Wyspiański zajął się odtworzeniem stalli, ław, ołtarza, nagrobków, ambony i świeczników, a nawet poszczególnych okien i drzwi. Studenci narysowali także Dom Kromera, w którym mieściła się ongiś łaźnia królowej Jadwigi.

Zaproszeni na ratusz oglądali ogromny miecz katowski oraz stare pergaminy. W Libuszy Wyspiański zwrócił uwagę na polichromię kościółka — barwne skręty roślinne, przechodzące w kwiaty i liście. Motyw roślinnych skrętów stał się bardzo częsty w późniejszej twórczości plastycznej Stanisława Wyspiańskiego. W Bobowej — miasteczku zamieszkałym przez ludność żydowską — artyści zachwycali się drewnianymi domami i malowanymi podcieniami biegnącymi nieprzerwanie wzdłuż całego rynku. W Jeżowie błądzili koło zamku a właściwie wiejskiego dworu, który był — jak wyraził się Łuszczkiewicz „licho malowany, ale bardzo stylowy".

Wreszcie Szymbark, który był ukoronowaniem wędrówki, zachwycił studentów swym zamkiem. Zajął się nim później sam prof. Łuszczkiewicz, poświęcając jego architekturze osobne studium.

Ładunek wrażeń zebranych podczas wycieczki na Podkarpaciu wystarczył Wyspiańskiemu na długie lata. Podczas swych wędrówek nasłuchał się legend i opowieści krążących przez całe wieki wśród tamtejszej ludności. Witold Fusek ustalił, że jedna z nich zasłyszana w Bieczu, posłużyła za motyw do dramatu „Klątwa", który Wyspiański ogłosił w krakowskim „Życiu" w 1899 r. Legenda ta dotyczyła osoby plebana z Biecza, który miał z własną gospodynią dwoje dzieci. Gospodyni cierpiała wszakże moralnie z powodu popełnienia tak straszliwego grzechu jakim było spłodzenie nieślubnych dzieci i to jeszcze z osobą duchowną. Wkrótce u plebana miał miejsce zjazd księży z całego dekanatu. Gospodyni, korzystając z okazji, zapragnęła wyspowiadać się. Błądząc po kościele zastanawiała się nad wyborem spowiednika. Wreszcie uklękła przy konfesjonale, natrafiając w sam raz... na swego kochanka. Oboje jednak nie poznali się. Gospodyni opowiedziała księdzu o swym grzechu. — „Co robić, aby być zbawioną? — zapytała. — „Rzuć dzieci do rozpalonego pieca, a sama wskocz za nimi"! — rozkazał pleban. Gospodyni uczyniła zadość jego życzeniu. Wieczorem ksiądz zajrzał na plebanię i nie znalazł gospodyni. Postanowił wrócić do kościoła. Wychodząc z domu, ujrzał trzy synogarlice, siedzące na kominie. Wtedy przypomniał sobie penitentkę spod konfesjonału...

Tę samą legendę usłyszał Fusek od starej, bo 90-letniej kobiety, mieszkanki Biecza, p. Jagielskiej. Dodała ona ponadto, że w domu rodzicielskim znajdował się obraz przedstawiający Matkę Boską z trzema synogarlicami. Obraz ten został znaleziony w gruzach kościoła farnego w Bieczu, zburzonego podczas najazdu tatarskiego.

„Klątwa" nie była sztuką mile widzianą i nie doczekała się inscenizacji za życia Wyspiańskiego. Widocznie dużą rolę odegrała w tym niezbyt sympatycznie przedstawiona postać księdza, który będąc współwinnym grzechu domagał się tak surowej pokuty. Ze względu na silny akcent antyklerykalny nad „Klątwą" Wyspiańskiego wisiała klątwa kardynała Puzyny.

Kontakty Wyspiańskiego z Bieczem nie urwały się tak szybko. W 1895 r. pertraktował on z miejscowym proboszczem w sprawie wykonania polichromii dla kościoła.

„Roi mi się kościół w Bieczu — pisał Wyspiański do przyjaciela w lutym 1895 r. — Tzw. „polichromia" czyli smarowanie w papuzie kolory. Jest na nich de Seine wielka papuga niebiesko - zielono - żółto - czerwona. Otóż ona jest wzorowym okazem i modelem polichromii średniowiecznej.. — Ja chcę inną zaprowadzić modę i jestem stanowczo po stronie sów, np. tonacja płomykówki jaka jest miła, albo krogulcza".

Niestety, artysta nie mógł dojść do porozumienia z konserwatorem Sławomirem Odrzywolskim. Ostatecznie polichromię wykonał w 1905 r. Włodzimierz Tetmajer — przyjaciel Wyspiańskiego, którego artysta uwiecznił w „Weselu" w roli tytułowej — „Gospodarza". I byłby to chyba ostatni ślad związków Wyspiańskiego z ziemią gorlicką.

RYSZARD DZIESZYŃSKI

Tadeusz Piekło

Rozmowy o wierszach

NOWOROCZNA KOLUMNA KKMP

Podobnoć, po wierszach publikowanych w „Widnokręgu", redakcja tego sympatycznego tygodnika otrzymuje wiele listów od czytelników. Piszący te listy oburzają się na niezrozumiałość wierszy, stwierdzają, że nic w nich nie ma i że mimo wielokrotnego odczytywania tych utworów przez wielu bliższych i dalszych znajomych nie udało się ustalić, o co poetom w tych wierszach chodziło.

Redaktorzy „Widnokręgu" mają wiele kłopotów z tą korespondencją. I nie ma im się co dziwić; z jednej strony redakcja zasypywana jest wierszami przez mniej lub więcej udanych poetów, z drugiej, jednakże, nie sposób nie liczyć się z opiniami czytelników. I jak tu postępować, by dogodzić i jednym i drugim?

Chciałbym dziś dorzucić swój kamyczek do owego stosu sprzecznych opinii; czynię to pod wrażeniem niedawnej rozmowy z redaktorami „Widnokręgu" (która miała miejsce na zebraniu rzeszowskiego Ośrodka KKMP), a także pod wpływem kolumny wierszy, zamieszczonej w noworocznym numerze pisma, która to kolumna jest — niejako — owej rozmowy bezpośrednią konsekwencją.

Nie będę tutaj próbował — nawet w najbardziej skrótowej formie — relacjonować dyskusji, jaka miała miejsce na wspomnianym spotkaniu. Nadmienię tylko, iż jednym z argumentów, jaki padł w czasie tej dyskusji, była właśnie ta mnogość listów protestujących, pełnych zdziwienia i oburzenia — listów domagających się bardziej rozważnej i ostrej selekcji utworów, kwalifikowanych do druku. Nie będę także w sprawie owych listów zajmował stanowiska — swoją opinię na ten temat wypowiem, być może, w dyskusji, o ile taka wyniknie na skutek publikacji niniejszego.

Hermetyczność, niezrozumiałość współczesnej (szczególnie tzw. „młodej") poezji — to sprawa, o której mówi się często i przy wielu okazjach: w czasie dyskusji towarzyskich, na spotkaniach autorskich, także i krytycy zużyli niejeden wkład do długopisu, omawiając ten problem.

Najtrafniej, moim zdaniem, tę sprawę określił Julian Przyboś, w czasie spotkania w rzeszowskim klubie „Turkus". Stwierdził on, z właściwą sobie pryncypialnością, iż dwa są zasadnicze powody niezrozumiałości współczesnych tekstów poetyckich. Powód pierwszy — to nagminne niemal nieprzygotowanie czytelników do odbioru współczesnej czy też — by ściślej się wyrazić — dwudziestowiecznej poezji; przyczyną tutaj jest naturalne wyprzedzanie przez poezję (będącą wszak awangardą literatury) gustów czytelniczych, kształtowanych na dawnych wzorcach, oraz na słownictwie poetyckim, które już weszło na trwałe w krwioobieg powszechnego odczuwania i mowy. Druga przyczyną jest inflacja poetów i wierszy, coraz większa ilość tekstów quasipoetyckich, nie zawierających tego, co dla poezji najistotniejsze: przewodniej i scalającej myśli, idei nowej i odkrywczej, elementu zaskoczenia, skrótu, wzruszenia. Często bywa tak, że cały wiersz jest pisany niejako wokół metafory, dobrej lub kiepskiej; co gorsza, w takim wypadku metafora, niestety, rzadko jest światłem, wydobywającym w nagłym spięciu sens poetycki utworu. Takich wierszy szkoda czytać, ale takie wiersze pisane i publikowane bywają, powiększając i tak niemały przecież zamęt w dziedzinie zwanej **zrozumiałością** poezji. Konieczność pełnego uświadomienia sobie owych dwóch przyczyn omawianego zjawiska wydaje się być bezdyskusyjna. (Tu od razu pragnę się zastrzec, iż nie powtórzyłem dosłownie wypowiedzi Przybosia, przedstawiłem tylko — może zbyt mało precyzyjnie, tej wypowiedzi ideę).

Skoro taki jest stan rzeczy poetyckiej, jeśli tak wiele jest wątpliwości w tej materii — jakiejż pieczołowitości trzeba przy pracy, zwanej pisaniem wiersza. Jak wielkiej uwagi, poczucia odpowiedzialności, dyscypliny — nie mówiąc o wiedzy! — jeśli ma się świadomość, iż wiersz czy poemat służy (służyć powinien!) rozwijaniu wrażliwości społecznej, wzbogacaniu ogólnej wiedzy o tym, co nazywamy rzeczywistością i egzystencją.

Jest to ciężar, który niełatwo udźwignąć. I nie wszyscy — a szczególnie tzw. „młodzi" poeci — są w stanie sprostać wymaganiom, jakie stawia przed nimi wiersz. Toteż często — jak się to mówi — idą na łatwiznę, upraszczają sobie zadanie, piszą i publikują rzeczy nie do końca pomyślane, kalekie, wtórne — słowem niedostatecznie dojrzałe. Przekonuje mnie o tym m. in. lektura wierszy w różnych pismach, dziennikach i książkach.

Jako jeden z potencjalnych kandydatów do druku w „Widnokręgu" (choć, czytelnicy mi świadkami — nie nadużywam Waszej cierpliwości zbyt często) wdzięczny jestem redaktorom za pomoc i opiekę, wyrażającą się w oddawaniu miejsca w piśmie na utwory kolegów z KKMP. Cieszy ta kolumna noworoczna, cieszą przyobiecane następne kolumny w 1969 roku. Nie będzie już — sądzę — ze strony piszących pretensji do pisma, że nie zauważa, nie docenia, utrudnia, za mało uwzględnia etc.

Wobec takich objawów dobrej woli wypada chyba postawić pytanie: czy my, piszący wiersze, robimy ze swej strony wszystko, by były one jak najlepsze? Dojrzałe artystycznie i ideowo? Przemyślane i skondensowane? Słowem — by były to wiersze godne publikacji i zapamiętania?

Myślę, iż nie zdradzę tajemnicy stanu, gdy powiem, że w pracy literackiej realizacje na ogół nie sięgają założonego ideału. Gdyby tak się zdarzyło, wystarczyłoby jedno dzieło, jeden wiersz, aby osiągnąć pełnię wypowiedzi. Tak bywa bardzo rzadko. Stąd powstają utwory lepsze i gorsze, dojrzałe i mniej doskonałe. I śmieszne byłoby mieć pretensje do autorów tych gorszych czy mniej dojrzałych tekstów, że nie napisali rzeczy genialnych. W rozwoju osobowości twórczej pisarza zawsze stawia się na to, iż z czasem jego talent, praca nad sobą, cierpliwość i coraz większy bagaż intelektualny dadzą w efekcie — wcześniej lub później — dobre, czy wręcz doskonałe utwory.

Temu celowi służą przeróżne mecenaty, m. in. i publikacje w pismach, które mają zachęcić do dalszej pracy, do zwiększonego wysiłku. Ale mają one sens jedynie wówczas, gdy młody „pisarz" rozumie tę właśnie rolę mecenatu i gdy stawia sobie wysokie wymagania.

Co powiedziawszy, mogę już przejść do sedna sprawy. Wierzę, iż koledzy z KKMP bardzo się na mnie nie obrażą za to, co za chwilę napiszę — czynię to wszak w przekonaniu, że taka publiczna rozmowa może przynieść nieco pożytku zarówno nam, jak i czytelnikom.

Dziewięć wierszy, zamieszczonych na noworocznej kolumnie „Widnokręgu" budzi mieszane uczucia. Obok pełnego ekspresji i wyobraźni, dojrzałego wiersza Zdzisława Ostrowskiego — landszaftowy wierszyk Czesława Piotra Kondraciuka, odwołujący się do powszechnie uznanych nastrojów, wyobrażeń, z niezamierzonym efektem komicznym w pointcie; wiersz wyraźnie, jak się to mówi, „puszczony".

Poprawnością i precyzją słowa, skupioną wizją poetycką wyróżnia się na kolumnie wiersz Zofii Stąpor. I zaraz potem spowiedź ze szczerych intencji Franciszka Ceglaka, która powinna być raczej do końca przemyślana i uświadomiona niż napisana, gdyż na wiersz materiału w tym tekście stanowczo za mało; jest to przy tym materiał noszący charakter organizowania świadomości dyskursywno-intelektualnej, zaledwie tknięty narzędziem obróbki poetyckiej. Stanowczo, nie „wystarczy tylko odrobina chęci (aby zrozumieć przetwarzanie czasu".).

Niewiele także zobaczył Piotr Żbikowski w swoim wierszu „Patrzę z bliska ci w twarz". Zapewniając o wnikliwości własnego spojrzenia, autor dostrzega w twarzy kobiety destrukcyjne działanie przemijania — cóż: nie wychodzi w swoich stwierdzeniach poza konstatacje banalne. Nie ratuje także sytuacji ów „cień", który „mrocznieje" i „sięga źrenic" — gdyż nic z tego nie wynika, poza powszechnie znaną prawidłowością starzenia się, ujrzaną dość pospolicie.

Ludomir Mazela to dobry poeta — przekonał mnie o tym swoimi wierszami wielokrotnie. Jednakże jego wiersz „Pod Cergową", wyrwany z całego cyklu, jest dość przeciętny, a ostatnia linijka, „rdzawe znalezisko wieku dwudziestego" — to wyraźna usterka warsztatowa, popełniona chyba po części również i dla rymu. Ale — mimo wszystko — to jest na pewno wiersz; co do tego nie ma wątpliwości.

„Refleksje" Edwarda Zolowskiego to dowód wrażliwości na krajobraz — ale cóż, tekst nikły intelektualnie, poza tym znowu stare, ograne rekwizyty: „przydrożna wierzba", „jesienny pejzaż (trawą drżący) głogami zorzy symfonią deszczu", „gałęzie wiatru", „czerwony księżyc", „kwiat świętojański — nic tu nowego. W konwencji poezji krajobrazowej można — tak, jak robi to w swoim wierszu Wiesław Kulikowski — osiągnąć świeżość liryczną, trzeba jednak nowego spojrzenia, wyobraźni i nieulegania potocznym, a więc powszednim refleksjom.

Wiersz Bronisława Dryi „Dojrzałość oczu" jest typowy dla tego autora; szczery i prosty. Nie ma tu silenia się na nowoczesność; ubóstwo widzenia wydaje się być zamierzone. Ta droga rokuje autorowi dobre nadzieje. Wiersz czyta się z prawdziwą satysfakcją.

Czemu ma służyć powyższe omówienie wierszy? Takie pytanie jest w pełni usprawiedliwione. Ale nie postawię tu odpowiednich tez, które chyba dość jasno wynikają z całości artykułu.

Niech mi wolno będzie na zakończenie rzucić pytanie, o które od początku chodziło: czy nas, młodych pisarzy, członków i nie — członków KKMP — czy też nas przypadkiem publikacje naszych wierszy nadmiernie nie satysfakcjonują, a łatwość owej publikacji za bardzo nie uspokaja?

Jeśli udało mi się posiać przysłowiowe ziarno niepokoju — cel artykułu został osiągnięty.

OD REDAKCJI: Wypowiedź Tadeusza Piekły członka KKMP na temat noworocznej kolumny wierszy wzbudzi na pewno kontrowersyjne odczucia nie tylko autorów ale i czytelników.

Udzielając kredytu zaufania młodym twórcom, umożliwiając im start, w „Widnokręgu" zdajemy sobie sprawę, że nie wszystkie publikowane wiersze są w pełni dojrzałe artystycznie. Sądzimy, że dyskusja na temat „rozmowy" Tadeusza Piekły i tych problemów byłaby bardzo pożyteczna.

ZIMA W PARKU

FOT. CAF — UCHYMIAK

Krystyna Świerczewska

Rozmowy o pracy

ROK SIĘ SKOŃCZYŁ (PRÓBA BILANSU)

Było ich dwanaście; zupełnie przypadkiem było ich tyle, ile miesięcy złożyło się na ten miniony rok, skończony już, już zamieniony w historię. Rozmawiałam z ludźmi w nadziwniejszych i w najzwyklejszych scenariach: w skromnych domach i w wielkich biurach; wśród gór i pośród żelaznych konstrukcji; wyrywając ich na parę godzin z obowiązków, bądź anektując dla siebie ich czas na wypoczynek przeznaczony. Co charakteryzowało te rozmowy, to ta zawsze chętna otwartość ludzi, kiedy przyjdzie im mówić o rzeczy najbardziej sensownej w życiu — o pracy. Co jeszcze? Może fakt wszystkim rozmówcom wspólny, że nie byli żadnymi herosami, ludźmi niezwykłej działalności, bohaterami roku, postaciami wszystkim znanymi, ale po prostu i zwyczajnie ludźmi dobrze spełniającymi obowiązek, przez życie i państwo na nich nałożony. Może jeszcze i to, że poza tą pozornie zwyczajną pracą, kryła się niemal zawsze pewna postawa filozoficzna, która precyzować pozwalała właśnie taki nie inny stosunek do obowiązków. Im łatwiej była odkrywalna ta postawa — tym większą satysakcję sprawiała mnie jako dziennikarce, bo z góry zakładałam, że sens tych rozmów nie może polegać na powierzchownym pokazaniu sylwetki rozmówcy, a przede wszystkim na dogrzebaniu się, o ile to możliwe, do praprzyczyn każdej indywidualnej postawy wobec pracy, na różnicowaniu tych przyczyn, które pozornie nieatrakcyjny temat uwolnić mogą od monotonii i schematyzmu, zabójczego wbrew najlepszym intencjom.

Ciekawi mnie człowiek i to nie w tej jego części, która na co dzień pokazuje otoczeniu, ale w jego racjach i sądach. W tym wszystkim co indywidualne, własne niepowtarzalne, ale zarazem tak przezeń używane, że dozwala mu na swobodne poruszanie się w środowisku zgodnie z ogólnie przyjętymi normami; w tym, co nie wybija go ponad środowisko, ale umieszcza w jego złotym środku, przy tym z pełnym wzajemnym przeświadczeniem o jego użyteczności, wartości. Dlatego nie szukałam herosów, którzy mnie osobiście ani podniecają reportersko, ani nie mogą stanowić jakiegokolwiek wzoru dla kilkudziesięciotysięcznej masy czytelników, właśnie przez swoją wyjątkowość, właśnie przez to widoczne uplasowanie się na szczycie.

Któż otworzył mój cykl? Zwykły człowiek, stareńki gospodarz z Sieteszy — Jan Rudnicki. Nikt go nie zna poza Sieteszą, wąskie grono sąsiadów podziwia, nie wielu ludzi kojarzy jego postać z zaszczytnym tytułem kmiecia — a więc rolnika wolnego, z wyboru, z zamiłowania, pełnego godności, za którą stoi tylko i wyłącznie mądra praca. Przyznam się szczerze, że pozostał moim faworytem ten człowiek, który poza reporterską satysfakcją dostarczył mi przyjemności zupełnie osobistej, ludzkiej przez swoją, obrosłą w fakty i przemyślenia gawędę. Do dziś widzę go na farmie Dally'ego i otrząsam się z zimna w tym sadzie zamarzniętym, wśród gołych drzew, wśród płaskości amerykańskiej ziemi, pośrodku nocy i dnia — o szarym świcie i do dziś rozumiem, jak papierowy dolar mógł stawać się w tej scenerii śmieciem, nawet nie środkiem do celu. Stąd pewnie przyszło to zdanie Rudnickiego — „proszę pani, człowiek musi z siebie coś w y d a w a ć" i to drugie, że Anglicy (bo ani razu nie użył terminu „Amerykanie") zmienili mu myślenie i to trzecie, że życie ludzkie przypomina pory roku: po okresach bujności lata i jesieni, bujności wysiłku rolnika przychodzi zima, odpoczynek i pełna komora. To był poza tym ten jedyny bodaj człowiek wśród moich rozmówców, który **nie rozłączył ani na moment pracy od życia**, który poruszał się wśród tego stogu dwóch pozornie odmiennych wartości z przekonaniem, że odnalazł regułę na szczęście, przepis na małe i duże sensy naszej egzystencji. Więc niechże pozostanie pierwszy, najlepszy, ot, taki mój prywatny bohater roku 1968.

Szukałam pracy zwykłej i uczciwej.

Myślę, że udało mi się znaleźć dwunastu uczciwych ludzi. To strasznie mało w skali trzydziestu i kilku milionów Polaków — to też warto chyba sięgnąć po nowych ludzi, by cykl nie zamienił się w lekko-cyniczne stwierdzenie o dwunastu sprawiedliwych, które zresztą przewrotnie wylęgło się tylko w mojej głowie, bo czytelnik nie miał powodu liczyć rozmówców, bo po prostu czas tego kwartału nie zdołał pomieścić ich więcej. I niniejszą próbą bilansu nie mam ochoty niczego zamykać, czy podsumowywać raz na zawsze a nieodwołalnie, gdyż trudno wyrzucić z siebie tę ciekawość ludzi, rozbudzoną ich prywatnym stosunkiem do rzeczywistości, bo nie sposób nie sięgnąć po cudze doświadczenie, tam, gdzie ono jest warte publicznej prezentacji. Przeto sprawę zostawiam otwartą i chętnie będę czyniła powroty do rozmów o sensie życia, jakim bywa praca. Warto jednak już teraz coś dostrzec w tym nietuzinkowym tuzinie doświadczeń, spróbować pokusić się o uogólnienia, których unikałam jak zarazy w poszczególnych rozmowach. Po prostu dlatego, że z reguły nie cierpię podsumowań, uogólnień, że bywają zawodne zawsze, kiedy za materiał dowodowy mają tylko jednostkę. Na tę próbę bilansu zapracował więc czas i ilość oraz parę ciekawych spostrzeżeń, wspólnych niemal wszystkim rozmówcom.

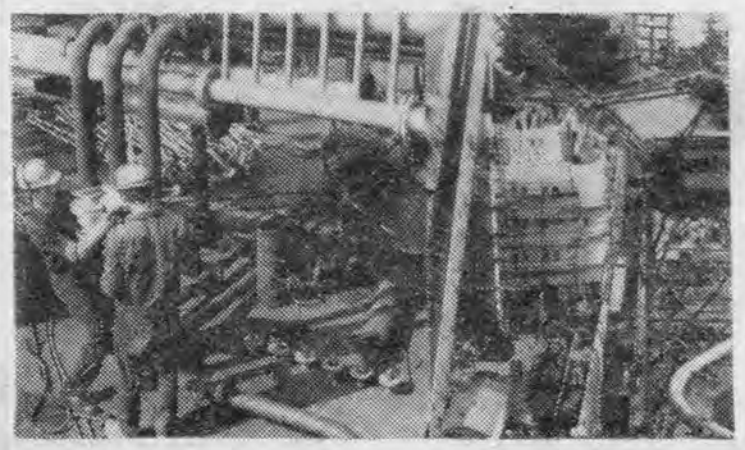

Roman Turek pisze książkę dla ludzi, nie dla siebie. W momentach niewiary powiada, co prawda: niech leży w szufladzie! Ale kiedy owe momenty mijają, otrzepuje karteluszki z kurzu i składa w wydawnictwie...

Młody lekarz z Frysztaka pracuje niedługo, nic go właściwie nie różni od setek młodych lekarzy naszego województwa, ale z jednym, dwoma innymi rozmawiałam i byli po prostu skapcanieli, zagryzali się brakiem dochodów, wolontariatami, wyborem miejsca osiedlenia, futrem dla żony, wyborem szpitala lepszego od mniej dobrego. Padając ze zmęczenia łapali jeszcze jedną chałturę, a w międzyczasie zżerały ich ambicje, że Iksiński **szybciej** doszedł do czegoś tam, czego nawet dobrze pojąć nie jestem w stanie. Młody lekarz z Frysztaka odciął się od tych wyborów bez goryczy i bez buntów. Świadomie wrócił w to środowisko, z jakiego wyszedł. Swoją drogę ze wsi na wieś uszlachetnił paroma latami studiów; zmienił myślenie, jak by to powiedział Rudnicki, ale nie zmienił otoczenia; studia nie stały się zaczątkiem snobizmów ambicjonalnych, lecz wiernością dla przysięgi Hipokratesa, na którą wieki, niestety, nałożyły mnóstwo wątpliwych znaczeń w wielu indywidualnych przypadkach. Imponują mi ludzie, którzy, sami bardzo młodzi, absolutnie dorośle wiedzą, czego chcą.

Imponuje mi Pani Lelkowa z Albigowej, nauczycielka polonistka powiadająca, że wśród albigowian czuje się, jak w jedynej metropolii świata, bo tu jest jedyne sposobne miejsce do przyjaźni i do pracy.

Imponuje mi poseł robotniczy — Jan Ozga, który z rozbrajającą szczerością wyznaje, że nie umie odprawić od drzwi człowieka skrzywdzonego, nawet jeśli to nie jest jego „rejon", jeśli ów człowiek przyszedł pod nie z ostatnią resztką wiary w pomoc. A przecież zaraz później słyszę od Ozgi poważnie, że odrzucił szereg propozycji w życiu, któreśmy zwykli określać mianem karier i słyszę żartobliwie, że nie umie nosić teczki; i jeszcze widzę, jak chowa maczkiem zapisany ceratowy notes — ową teczkę posła, chowającą ludzkie „być albo nie być"

Imponuje mi dyrektor Huty „Stalowa Wola", kiedy z wielkim spokojem skierowuje moją rozmowę o jego dyrektorskiej pracy, zgadzając się zresztą ze mną, że dyrektor — to dzisiaj zawód, na sprawy całej załogi, która wraz z nim gospodarzy i jest w tym zabiegu prywatne sprawdzenie podstawowego prawa socjalizmu o współodpowiedzialności w zarządzaniu.

Imponują mi dlatego, że jakoś nie przychodzi im wszystkim do głowy drugi sens ich pracy, s e n s s p o ł e c z n y, z jakiego tak często ludzie mniej pracowici ukuwają na własny użytek tarczę i pobłyskują nią publicznie.

A każdy, po trosze zdziwiony, zadaje pytanie — dlaczego ja? Cóż ja takiego?...

Jest w tym uroda skromności i zarazem niepokój, że przywykliśmy do herosów, pomników, świeczników. Że ludzi zdumiewa prostota wyboru.

A przecież to ona decydowała, że po rozmowach o sztuce, które kiedyś prowadziłam, wkładając w nie pasję przybliżenia sztuki przeciętnemu odbiorcy, chęć docieczenia mechanizmów jej kreowania przez niewielką garstkę społeczeństwa, z równą pasją zabrałam się do rozmów o pracy, zupełnie zwykłej, przeciętnej, którą już wszyscy uprawiamy. I tak tam, jak i tutaj, interesowały mnie zawsze mechanizmy pracy; owo prościutkie pytanie: dlaczego tak się dzieje, że ten sam zawód uprawiany bywa byle jak i po mistrzowsku. To co przypuszczałam, że nie zawsze o efektach decydują zdolności bądź talent, potwierdziło się w całej rozciągłości. Że za każdą pracą stoi chęć, z jaką ją podejmujemy, pospolite lubienie, zgoda własna na środowisko, dla którego pracujemy, pasja wreszcie w „wydawaniu czegoś z siebie". Że praca, choć równa się pieniądze, bywa, że równa się także zadowolenie, satysfakcja, a więc równa się życie, co tak pięknie udowodnił, wcale bez chęci udowadniania czegokolwiek Jan Rudnicki — rolnik.

Za ekonomiczną formułą dochodu narodowego stoi lapidarna definicja o pracy produkcyjnej. Brzmi sucho i truistycznie. Spróbowałam rozłożyć tę formułę na czynniki emocjonalne — zabrzmiała po ludzku. Dlatego 600 miliardów złotych, jakimi zamknął się dochód narodowy roku 1967, w którym byliśmy bogatsi o 7 procent niż w 1966 i 19 tysięcy złotych na jednego mieszkańca rocznie, wyłącznie z pracy produkcyjnej przypadające (a więc 6 razy większa to wartość niż w 1938, a 3 razy — niż w 1950) jest sprawiedliwe statystycznie, kryjąc jednak dramaty niejednorodnego wysiłku.

Wielu rozmówców twierdziło, że często nawiedza ich uczucie, iż pracują na leniów, że są przez leniów prywatnie okradani. Nie tylko moi rozmówcy żywią takie podejrzenia i to jest właśnie cząstka naszych prywatnych dramatów. A że z kolei te pozornie prywatne dramaty rozciągają się dużo szerzej na środowisko, że jeden obibok dezorganizuje dyscyplinę i morale — to już przestaje być dramatem prywatnym.

Zapuściłam swoją prywatną sondę w szeroki klan zawodów; celowo ustawiałam naukowca obok księgarki, leśnika w pobliże pisarza, chłopa obok żołnierza. Celowo unikałam jakiejkolwiek niezwykłości i efekciarstwa. Nie lubię bawić się formą, gdy zdanie pęka od treści, bo byłby to zabieg zgoła niepotrzebny. Ileż żałości było jednak we mnie, że pióro nie mogło czasem wydobyć intonacji, odtworzyć gestów, że słowo pisane pozostawiało zbyt wielką rozległość interpretacyjną.

I na zakończenie, jako że próba bilansu niebezpiecznie się rozrasta, wypada mi podziękować wszystkim zainteresowanym, którzy tyle cennego czasu mi poświęcili, którzy, sami często zażenowani, czynili na prywatny mój użytek wyprzedaż najintymniejszych przemyśleń. Że nawet Pan Roman Turek był zaniepokojony moją upartą dociekliwością, niechże posłuży jego skwitowanie tej dociekliwości, jak zwykle zabawne:

— Proszę Pani, byli u mnie różni dziennikarze, ale żaden tak nie maglował mnie jak Pani; co więcej — przeważnie byli tacy, co o nic nie pytali, a później pisali rozmowę ze mną na pół kolumny, gdziem się nie mógł poznać...

Cóż rzec w takiej chwili? Ano — prywatnie pozazdrościć, że nie pytają a wiedzą; zaś wedle własnego przekonania maglować dalej! Co też i czyniłam nie tylko z jednym Panem Turkiem, który oby żył sto lat jeszcze, ale ze wszystkimi i stąd wywodzi się moja przyjemność z tych spotkań, z których często wracałam podekscytowana cudzym życiem, zarażona cudzymi sądami o nim.

Nawiązując zaś do ekonomiki, do efektywności pracy, mam to przeświadczenie, że każdy z moich dwunastu rozmówców wypracować musiał nie tylko owe statystyczne 19 tysięcy złotych w roku i że żaden prawdopodobnie nie myślał o statystyce, lecz trzymał się wiernie zasad obywatelskich. A w tle tej pracy leżała stara kartezjańska maksyma o człowieku rozumnym: **myślę, więc jestem**, poszerzona o własne doświadczenie: **jestem — więc mam obowiązek b y ć pożytecznie.** „Coś z siebie w y d a w a ć".

Tropy wiodą na wszystkie ścieżki. Tropy nęcą. Obiecują rozumne obcowanie z wartościowymi ludźmi, którzy nie chcą być herosami. Obiecują niejedną jeszcze przygodę; myślę, że wyboru można dokonywać wspólnie i za wszystkie dotychczas zgłoszone prywatnie propozycje kogo warto publicznie pokazywać, do kogo warto kilometrami czasem tłuc się po ośnieżonej drodze — dziękuję; wszystkie następne — postaram się uwzględnić.

Listy DO PRZYJACIELA

11 stycznia 1968 r.

Niespokojnyś, czemu milczę, domagasz się odpowiedzi, a przecież ciągle Ci powtarzam, że ludzie pracujący piórem cierpią na nadmiar pisania i jeśli mogą — pióra unikają. Gdybym czas Tobie poświęcony w milczących rozmowach, w których tylko wyobrazić sobie mogę, co byś rzekł na moje niepokoje i prywatne przemyślenia, obróciła w pisanie — pewnie byś się bronił przed zalewem słów, myślę bowiem na tyle szybko, że rozmowy nasze zmieniłyby się w stertę listów o życiu. Ale bo też dobrze mi z Tobą o tym życiu rozmawiać i gdzieś tam zawsze znajdujemy konieczny w obopólnej harmonii kontrapunkt, o który trudno z innymi.

Nie wiem, czy pamiętasz styczeń roku 1945? Te oszalałe dla rodziców noce, przesypiane w piwnicach o chłodzie i głodzie? Te dymiące żelazne piecyki? Tę całą atmosferę grozy, huku, niewiadomego i nas, dzieci w nią zamieszane? Pamiętasz jak nas to z początku cieszyło, że żyjemy stale obok siebie, że nie trzeba wypraszać godziny na wspólną zabawę, ale że ta zabawa będzie trwała nieprzerwanie? Że wystarczy uchylić drzwi, by zobaczyć siebie w identycznej scenerii: sterty węgla, jakieś stare leżanki, jakiś korczyk kartofli, może bladozielone głowy kapusty, kosz z jedzeniem, utkane szmatami okienko piwniczne i dymiący, rozgrzany piecyk, który w ten mroźny styczeń ani rusz mógł wystarczyć do ogrzania prymitywnego schronu?

Gdzieś nad nami pękały w oknach szyby, sypał się gruz, zrywało stropy z mieszkań, matki kombinowały dodatkową porcję marmolady i apfel — tea (pamiętasz Ty to świństwo, tę pseudoherbatę osłodzoną sachary-

Jan Grygiel

WESELE Z KRACZKOWEJ

Scenariusze wesel ludowych zawierające zapis przyśpiewek, oracji, melodii i obyczajów weselnych z określonych regionów odgrywają coraz poważniejszą w dokumentacji szybko zanikającego folkloru w Polsce. Służą nie tylko jako materiał repertuarowy folklorystycznym zespołom artystycznym lecz również jako materiał źródłowy do badań etnograficznych i studiów nad kulturą ludową. W województwie rzeszowskim szczególnie bogatym w różnorodne obyczaje weselne istnieje szczególna potrzeba, a nawet społeczny obowiązek tworzenia takich scenariuszów, by ocalić od zapomnienia samorodną i spontaniczną twórczość całych pokoleń chłopskich. Trzeba przyznać, że takich zapisów wesel powstało u nas dość dużo, a niektóre z nich cieszą się wielką popularnością. Od dawna znamy „Wesele haczowskie", istnieją w scenariuszach wesela — domaradzkie, bliźnieńskie, z Krzemienicy, Woli Dalszej, Wysokiej, Bud Łańcuckich, Białobrzegów i sporo jeszcze innych. Oczywiście nie wszystkie posiadają równą wartość dokumentalną, gdyż nie zawsze opracowywali je ludzie doświadczeni w gromadzeniu folkloru, wyrośli w tradycjach kultury ludowej i pamiętający z autopsji obrzędy swojej wsi. Kilka z nich jednak zasługuje w pełni na popularyzację i utrwalenie w świadomości społecznej. Z popularyzacją jest nie najgorzej dzięki amatorskim zespołom artystycznym, które coraz częściej wykorzystują w swym repertuarze wesela. Natomiast prawie zupełnie nie interesują się nimi wydawnictwa, nie trafiają na półki księgarskie, nie drukuje się ich nawet w postaci materiałów naukowych. Dlatego z aprobatą trzeba przyjąć inicjatywę Wydawnictwa Lubelskiego, które w serii Lubelskiej Biblioteki Ludowej zdecydowało się wydać jedno z najbogatszych i najstarszych wesel Rzeszowszczyzny, „Wesele kraczkowskie" — Walentego Kunysza.

Autor, jeden z najstarszych poetów ludowych w Rzeszowskiem i namiętny zbieracz folkloru swoich rodzinnych stron wywiązał się znakomicie z trudnego zadania. Pokazał bardzo szczegółowy obraz wszystkich obrzędów weselnych swojej wsi Kraczkowej w powiecie łańcuckim oraz zanotował 282 pieśni i przyśpiewki śpiewane w czasie tej uroczystości. Przyszło mu to łatwiej niż zawodowemu etnografowi, gdyż od 70 lat tkwi w tym regionie i z pasją w całej swojej twórczości odtwarza dawny obyczaj i tradycje swej wsi. W jednym ze swoich wierszy Kunysz wyznaje:

„Lubię ogromnie dawniejsze zwyczaje
Muzykę, tańce, śpiewki, śmieszne baje
I te przepiękne ludowe obrzędy,
Stroje i gwarę, przysłowia, gawędy,
Aby zachować te dawne piękności,
Spisałem, mam ich w dużej obfitości"...[1])

Z tego umiłowania powstała jeszcze 1935 roku powieść dokumentalna „Z życia praojców", wielki zbiór gadek, pieśni pątniczych, opisu chorób i sposobu ich leczenia, przysłów, porzekadeł, fraszek i zagadek ludowych oraz „Wesele kraczkowskie" ważny dokument dla badań etnograficznych, językowych i literackich. Niestety, Walenty Kunysz nie miał dotąd szczęścia do publikacji swoich zbiorów i twórczości oryginalnej. Od czasu do czasu, raczej rzadko, ukazywały się jego wiersze w czasopismach na specjalnych kolumnach poświęconych poetom ludowym, w antologiach twórczości ludowej, sporo przysłów przez niego zebranych opublikowano w „Literaturze Ludowej" w 1957 r. i wreszcie w ostatnim zeszycie kwartalnika rzeszowskiego „Profile" fragment znakomitych, frapujących pamiętników. To wszystko, mimo wielu zabiegów, i starań poety o prezentację swojego wieloletniego dorobku drukiem.

Może „Wesele kraczkowskie", pierwsza książka Kunysza pociągnie za sobą dalsze i wzbudzi szczere zainteresowanie jego twórczością?

Książka Kunysza jest nie tylko dokumentem, jest również atrakcyjną antologią samorodnej poezji ludowej, dającą czytelnikowi dużo satysfakcji natury artystycznej. Znajdujemy tu dużo pieśni i przyśpiewek znanych wcześniej ze zbiorów Oskara Kolberga, Zygmunta Glogera, Aleksandra Saloniego czy z antologii Czesława Hernasa „Kalinowy gaj" w trochę tylko zmodyfikowanej postaci. Różnice wynikają ze specyfiki pamięciowego przekazu twórczości folklorystycznej — albo zatarte przy wędrówce w czasie i przestrzeni fragmenty tekstów uzupełniano innymi lub adaptowano tekst do potrzeb miejscowych. Te piosenki są niewątpliwie najstarsze w zbiorku, wywodzą się z tradycji pańszczyźnianej. Sporo tekstów powstało na miejscu w Kraczkowej i okolicy — świadczą o tym znajdujące się w nich nazwy Kraczkowej, Cierpisza, Strażowa, Rzeszowa itp. Kunysz na szczęście nie usiłował teoretyzować, wydzielać pieśni rdzennie chłopskich od mieszczańskich, szlacheckich, żołnierskich, nie usuwał, nie tępił naleciałości językowych lub zwrotów z języka niemieckiego, węgierskiego czy ruskiego. Zapisywał wszystkie melodie i teksty, które śpiewano na weselach.

Dzięki temu otrzymujemy pełny obraz samorodnej poezji ludowej z okolic Kraczkowej, ze wszystkimi jej elementami składowymi. Widać jak ona się kształtowała, jak wchłaniała w siebie motywy kultury mieszczańskiej i szlacheckiej, realia obyczajowe i zwroty językowe ruskie i niemieckie, jak przyswajała sobie żargon koszar austriackich czy nawet teksty z literatury oficjalnej, m. in. Franciszka Karpińskiego, Aleksandra Fredry, które zabłądziły pod strzechy i stały się własnością ludu. Folklor jest więc zjawiskiem bardzo złożonym, odzwierciedlającym wszystkie związki określonego regionu ze światem i historią. I daremne są chyba usiłowania purystów zmierzające do eliminowania z folkloru wszystkich naleciałości obcych. Piosenka i obyczaj ludowy z natury rzeczy nie mogą być jakąś krynicą rodzimości, czystym nurtem narodowej tradycji nie zakłóconym żadnymi obcymi wpływami. Dlatego dobrze się stało, że Walenty Kunysz nie pominął np. w swoim „Weselu" pieśni urlopników czy wiarusów z armii austriackiej ze specyficznymi zapożyczeniami językowymi:

„W Rzeszowie przy moście malowana brama
Stoi tam dziewczyna bardzo zapłakana, ta drata.
Nie stoi tam sama ale inszych sztyry,
Bo jem wyrządzieły krzywdę longwery, ta drata.
Te nasze longwery to wojsko bogate:
Kapelusz z piórami, kożuchy kudłate, ta drata
A na tym kożuchu wybita litera,
Że baba wygnała do pola longwera"...

„Wesele kraczkowskie" zgodnie ze starymi wiejskimi obyczajami trwa siedem dni. Kunysz poprzedził je opisem obrzędów przedweselnych jak „zmówiny", „osłęby", „zaloty" i „pacierze". Również na każdy dzień wesela przypada jakiś charakterystyczny obrzęd weselny („wiechowiny", „sprosiny", „poranek", „oczepiny", „popłukanie zębów", „wywód" i „poprawiny"). Na każdy dzień przypada odpowiedni zestaw przyśpiewek i pieśni o bardzo zróżnicowanym nastroju — lirycznych, satyrycznych, groteskowych, często dość jędrnych i pikantnych. Zdarzają się między nimi prawdziwe perełki artyzmu i kunsztu poetyckiego.

„Wesele kraczkowskie" opatrzył wstępem Michał Łesiów informując w nim wyczerpująco czytelników o autorze, oraz analizując charakterystyczne cechy gwarowe tekstów.

Ta bardzo pożyteczna i piękna książka ukazująca zanikający dziś całkowicie najbogatszy obrzęd wsi polskiej zyska serdecznych przyjaciół nie tylko wśród etnografów i folklorystów, lecz również wśród czytelników przywiązanych do obyczaju i tradycji ludowych.

Walenty Kunysz — „Wesele kraczkowskie" — Wyd. Lubelskie, Lublin 1968.

1) „Wesele kraczkowskie" — wstęp — str. 14

2) Longwery — żołnierze z Landwehry

---

ną?), a my przeżywaliśmy przygodę, jak Piętaszkowie, siedząc na koszach zapełnionych mizernym bogactwem, jedynym, jakie z wojny pozostało. Stanowczo za mało mieliśmy lat, by rozumieć; szczęście, że na tyle dużo, by dziś pamiętać.

I szaleństwo w nas wzbierało, kiedy w ten huczący świat ojcowie z górniczą lampką i w żelaznych hełmach wędrowali, by pilnować sztolni przed zatopieniem, kiedy ich nie było przy nas, kiedy nie nas pilnowali, ale spraw zbyt abstrakcyjnych, byśmy ich wtedy mogli usprawiedliwiać. Toteż w te piętaszkowe przygody piwniczne raz po raz wdzierał się zgrzytem niepokój matek samotnych, jak kwoki chroniących całe ich dobro żywe wraz z mizernymi resztkami dobytku.

Każda niezwykłość może być piękna dla dziecka, pod warunkiem, że dzieje się w atmosferze sielankowej zgody otoczenia. Niestety, nie mieliśmy szczęścia do sielanek.

Wiesz, czemu wspominam te pierwsze dni roku czterdziestego piątego, które dziś wydają mi się koszmarem sennym? Bynajmniej nie dlatego, żeś dzielił je ze mną i że Ty także wiesz dzisiaj, jak było naprawdę przed tym ćwierćwieczem, któreśmy przebyli, dorośleje. Wspominam, bo rodzi się we mnie strach, że ludzi nic nie nauczyło nasze ówczesne przerażenie, nasze głodne wtedy oczy, nasze dzieciństwo spaskudzone wojną, bombami, nasze matki młodsze wtedy od nas dzisiejszych, a postarzałe w tych pięciu latach o ćwierćwiecze co najmniej. Dziś mówią — czegoś takiego po raz drugi nie dałoby się przeżyć! I nie wiem, czy to poprzez ich pesymistyczną pewność, czy poprzez własną nikłą pamięć mam ochotę krzyczeć, gdy słyszę o bombach i technice zabijania.

Pamiętasz tę ulicę, nazwaną od imienia dwóch lotników — Żwirki i Wigury i zerwane naroże domu bombą innego lotnika; tak przemyślnie zerwane, że został piec z niebieskich kafli i obrazek na ścianie? Śni mi się zawsze, ilekroć czegoś się boję, by dopełnić miary strachu.

Jesteśmy o rok starsi znowu i znamy oboje bilans tego roku. Dużo dobrego w polskich domach. W Telewizji Polskiej uczyniono jednak bilans spraw świata i cóż z niego wynika? W Azji wrze Wietnam, na Bliskim Wschodzie bomby spadają już na Liban, w Afryce Nigerię rozszarpuje wojna domowa; w Azji kilkadziesiąt milionów głodnych Hindusów; w Afryce jeden lekarz na 100 tysięcy Buszmenów. W Grenlandii szukano bomby atomowej, jak by nie było Los Panomares; w Chinach już ósma próba atomowa, odnotowana przez wstrząśnięty świat. A w obu Amerykach? Ledwie, że odbyła się Olimpiada, bo wrzał Meksyk; nie gasną ogniska nienawiści rasowej w Stanach Zjednoczonych, giną ludzie na oczach bezradnego świata, którzy przeciw nim protestują. Nie jestem w stanie tego słuchać, o tym czytać, z Tobą się nie podzielić własnym zmęczeniem.

Ponury obraz świata, w którym żyć nam przyszło, jest tym bardziej ponury, im więcej wiedzy o naszym dzieciństwie gromadzę, im więcej wspomnień mnie oblega, tym bardziej pragnę od nich uciec. I nie bardzo rozumiem co w ludziach wywołuje tę krwiożerczość, skoro taką sensację cywilizowany świat uczynił z nowogwinejskiego kanibalizmu, kiedy wiadomo, że ów się bierze z żadnej kultury i żadnej cywilizacji? Jaka jest różnica między człowiekiem wychowanym na „Fauście" i Hemingwayu, który naciska guzik w samolocie a tym nagim dzikusem, wierzącym w niszczycielską siłę wiatru, Księżyca i głód rozrywający wnętrzności? Może i taka, że ten od filozofii i sztuki nie bywa głodny i za ciasno mu w tunelach porytych między drapaczami; że znudził się gruntownie płonącą żyrafą Salvadora Dali i jego wyobraźnia pracuje na płonących ludzi.

Powiesz pewnie, że jestem przeciw sztuce; wiesz, gdybym nie bała się herezji, rzekłabym, że jestem przeciw niej wtedy, kiedy widzę jej bezsilność w kształtowaniu ludzkiego rozumu. Drażni mnie, gdy istnieje jakby na boku wielkich spraw i unika kontaktów z tą częścią świata, w której bomba jest jedynym sposobem udowadniania racji. Przeraża mnie człowiek, który najpierw napisał „Perłę" i „Grona gniewu", a później, na niewiele miesięcy przed śmiercią, pojechał do piekła i nie chciał zobaczyć, że własnoręcznie niszczy swoje ideały. Bo nie wystarczy powiedzieć: umarł, a potem nastąpi cisza. Bo ani nie spalimy na stosie jego książek, ani zaprzeczymy tej „Perle" i dojrzewającym gronom gniewu, lecz gorzko się zadumać przyjdzie, co dzieje się z człowiekiem, jak ułomny może bywać w tej części swego ja, z której wyprowadził własną filozofię i urodę sztuki. I właściwie nie wierzę, by wrażliwe sumienie, jakie kiedyś pchało go do pisania, nie stało się wyrokiem bodaj w jednym śnie o płonącym domu, o płonącej ziemi, której być może nie sparzył własnoręcznie nawet nie wygaszoną zapałką, zapalając papierosa, a która płonęła jaskrawo przez samą decyzję uznania bomby jako racji.

Nie sądzę, byś myślał inaczej, ale raz jeszcze Ci przypomnę, żeśmy o rok starsi; o rok przemyśleń, czynionych w spokojnych czterech ścianach naszych miłych mieszkań, w których łemkowski świątek wywraca surrealistyczne oko i pachnie herbatą, ciszą, świątecznym igliwiem. Lubimy tę ciszę i zapachy, pomaga nam przeżywać wszystkie lata; im ich więcej, tym bardziej ją lubimy, choć wcale nie łatwiej nam tylko nią się kontentować. Więc wystawiamy głowę za okno i łowimy zapachy świata; czy naprawdę nie da się z nich usunąć zgnilizny?

Wybacz tę gorycz noworoczną, ale zbyt wiele radosnej lekkomyślności przysłania nasz niespokojny świat, bym się z niej nie chciała przez chwilę bodaj wyłamać.

KRYSTYNA

RZESZOWSKA SZOPKA SATYRYCZNA

/FRAGMENTY/

TEKST I OPRACOWANIE MUZYCZNE: Andrzej Listwan

KOLĘDNICY:

Jak co roku o tym czasie
Wszystko nam do szopy pcha się
Ukochany Rzeszów
Najweselsze z miast.
Można się tu bawić
Można się tu śmiać
I niczego prawie
Nie trzeba się bać
PZU ci ubezpieczy
Ciebie oraz twoje rzeczy
A gdy ORMO czuwa
Możesz czasem spać (...)
Żyjmy więc wesoło
Bo żyjemy raz
Niech rzeszowskie koło
Mknie na cały gaz...
W naszej szopie sami swoi
Cnota krytyk się nie boi

* * *

ANIOŁ:

(Na melodię „Warszawski dorożkarz")

Ja przed władzą nie drygam
Ja nie jestem chuligan
I ja radę wam zaraz dam cenną,
Ja z kodeksem się zgadzam
Lecz mi czasem przeszkadza
To, że kodeks nie zgadza się ze mną.
Gdy milicja mnie czepia
Że przechodniów zaczepiam
Albo inne znów robię gdzieś świństwo
Wtedy w oczach mam łezkę
Robię minki anielskie
Zwalam wszystko na „trudne dzieciństwo"
To powtórzę każdemu,
Pijanemu, trzeźwemu
Moje życie nie było wesołe
Jestem „trudną młodzieżą"
Ale państwo uwierzą;
W gruncie rzeczy ja jestem aniołem
Ten pan nie chciał mi wierzyć
Więc musiałem uderzyć
Wszak anioły też honor swój mają
Temu nikt nie zaprzeczy
Ale teraz do rzeczy:
O co państwo szanowne pytają?

GŁOS III:

Wczoraj w nocy... pan pamięta?

ANIOŁ:

Dzień był bezalkoholowy
Więc kupiło się pół litra
I się wbiło go do głowy
Potem — z nerw się trochę wyszło...

* * *

„Polski Fiat"!
Kochany Polski „Fiat"
Kto pierwszy na ten „Mądry pomysł"
U nas wpadł?
Ekonomiczny cud
Pieniędzy mamy w bród
Więc każdy człowiek „Fiata"
kupić sobie radł
„Auto raz"
Dla pracujących mas"!
A że te masy u nas mają swe wymogi
Samochód luksusowy oraz drogi
Jest w sam raz.

POLAK:

Gdy kupowało się licencje
To się liczyło na klientów przyszłych pensje
Niech ten kupuje
Kto gdzieś pracuje
Bo kto pracuje to ten forsy ma najwięcej
Samochód tani kupić — to jest wstyd
My na drogie mamy zbyt!
„Polski Fiat"!
Gdy będę żył sto lat
I przez sto lat nie będę wcale pił ni jadł
Wtedy patyków sto
Wybiorę z PKO
(A drugie sto miał będę — bom je wcześniej skradł)
Wtedy już
Ten świetny kupię wóz!

* * *

GŁOS I:

Mądry Polak jest po „Skodzie"
Po „Syrence", po skuterze
Lecz po „Fiacie"? Nie panowie
W to tak łatwo nie uwierzę-

* * *

GŁOSY:

Powiemy każdemu, kto tego zażąda
Że miasto już wkrótce mieć będzie swe ronda
Jak ładnie to będzie, gdy powie ktoś w sądzie:
„Że własny samochód rozwalił na rondzie" (...)

* * *

Jak będzie ruch miejski na rondach wyglądał
Niech jakiś kierowca o sprawie tej sąd da
Gdy rady nie będę mógł sobie dać z rondem
To sprzedam samochód — pojadę wielbłądem
Najtęższe więc głowy niech razem usiądą
I niechaj raz jeszcze przyglądną się rondom
Bo rondo się może w labirynt przerodzić
I zamiast nam pomóc — to może zaszkodzić

* * *

GŁOS I:

Patrzcie bracia! noc zapada
Pierwsza gwiazdka lśni w zenicie

GŁOS II:

Sprezentować nam wypada
Wielkomiejskie, „nocne życie" (...)

* * *

Bardzo nam na sercu leży
By nie zgorszyć tej młodzieży.

MŁODY:

(melodia „Na kominku ogień" z kabaretu Starszych Panów)

Cóż to panie za gadanie
Kto tu kogo zgorszy, panie!
Pan jest starej daty człowiek
Od nas więcej się pan dowiesz.

Kiedy miasto noc otula
Gdy ty bracie w łóżku śpisz
Po Trzeciego Maja hula
Demograficzny wyż.
Hula sobie gdy ty śpisz
Demograficzny wyż
Długowłosi całą kupą
Na ulicy robią szum
Uganiają się za rymem
Rzucają mięsem w tłum.

Ktoś tam kogoś „takim synem"
Ktoś tam kogoś pięścią w nos
Błyszczą flachy z tanim winem
Klnie się tu na cały głos.

Demograficzny wyż
Niech rozbija się gdy śpisz
Demograficzny wyż!

(Za sceną słychać głosy tzw. „imienin")

GŁOS I:

Patrzcie bracia! już dwunasta
A tu hałas na pół miasta!

GŁOS II:

Wśród nocnej ciszy
Głos się rozchodzi
Panowie bracia!
Tam się narodził (...)

MILICJANT:

Dowód mi proszę dać osobisty!
Mandacik zaraz panu wypiszę
Czemu pan nocą narusza ciszę?
Mówi pan wierszem — w głos — na ulicy!
Tak zachowują się urzędnicy?!

GŁOS III:

Panie kapralu! Patrzcie w tym bloku
Jest większy hałas!
Tak jest co roku!

MILICJANT:

Lecz to prywatne czyjeś mieszkanie.
W to się nie mogę mieszać, mój panie!

* * *

SOLENIZANT:

Dziś są moje imieniny
Dziś się bawię ja,
Niech się leje wódzia
Niech muzyczka gra.
Wolnoć Tomku w swoim domku,
Niech się wali blok!
Trzeba się zabawić
Raz na rok.

GOŚCIE:

Nasz solenizant niech żyje
Niech się wódki napije

SOLENIZANT:

Z mojej wioski przyjechali
Bracia oraz teść.
Aby dobrze popić,
Aby dobrze zjeść.
Niech sąsiedzi się wściekają
Że nie mogą spać! (...)

* * *

GŁOS I:

(Na melodię „Odmieńca" Grześkowiaka)

Za filharmonię
Za brak Estrady
Czajewski ciągle
Dostaje baty
Choć Świętoniowski
Turkusem błyska
Wciąż na kulturę
Psioczą ludziska.
Może to kiepska
W mieście publika
Może to taka
Jest specyfika
Tylko my w szopce
Nie narzekamy
Bo Czajewskiego mamy!

WŁADYSŁAW CZAJEWSKI

Są muzycy, są malarze
Są koncerty, wernisaże
Konfrontacje i narady
I Teatry i Estrady...

GŁOS:

Właśnie! Gdzie jest ta Estrada?
Trzeba by tę sprawę zbadać
Póki ją trzymamy w dłoniach
Poszukajcie no Ciastonia! (...)

* * *

WSZYSCY:

Jedzie, jedzie autobusik
Pyka sobie z rury
Wiezie Kuba na prowincję
Swe anielskie chóry
Jedzie Kuba autobusem
Z rury sobie pyka
Znów Estrady nie obejrzy
Rzeszowska publika.

* * *

WSZYSCY:
(melodia ludowa)

Za Rzeszowem
Cztery mile i oha!
Straż Pożarna
Salę mi na występ da
Siadaj Dębiec
Prędki korbą zapal wóz
Niech nas wiedzie
Dobry Anioł Stróż.

Choć Babula jak archanioł
Gra na swojej trąbie
Bąk jak święta Cecylija
Na organach rąbie
Choć aktorzy pieśni nucą
Niczym cherubiny
To w Rzeszowie nigdy tego
Sami nie ujrzymy...

Za Rzeszowe... cztery mile i oha!
Patrzcie państwo
Jak ta banda pięknie gra
Tańczą babki
Jest kabaret istny cud
Niech się na to
Gapi wiejski lud (...)

* * *

DWUGŁOS:

Komu Pan Bóg chciał być wrogiem
Uczynił go pedagogiem
I za karę mu polecił
Aby cudze uczył dzieci.
Tak powstała z woli bogów
Wyższa Szkoła Pedagogów.

* * *

SPORTOWCY „STALI"

Kiepsko było do wakacji
Słaby każdy gracz,
Trzeba było zrewidować
Politykę płac.
Kosztowało,
Nas niemało
Ale się te pirso lige
Utrzymało (...)
Oj, Trampisz, Trampisz
Nie smuć się chłopie
Oj, nikt nam teraz nie nakopie
Skończył się sezon
Zaczęła zima
A w zimie przecież
Meczów ni ma! (...)

* * *

WSZYSCY:

My jesteśmy urzędnicy
Papirowi dostojnicy
Stanowimy zwartą brać
Rady nam nie można dać
Nas się petent musi bać!
Zastawiamy się ustawą,
Kiedy petent jeszcze stęka,
Wysyłamy do okienka,
A gdy jeszcze nie ma dość,
Paragrafem walim w kość!
My jesteśmy urzędnicy
Nam nie straszny nikt z ulicy
My barykad mamy sto,
Spróbuj bracie zdobyć to
Nie poradzi byle kto!...

Nie puszczamy na audiencje
Odbywamy konferencje
Te sposoby chronią nas
Przed natarczywością mas! (...)

* * *

MILICJANT:

Ze mnie dobry wywiadowca!
Nie błądziłem po manowcach,
Tylko afisz przeczytałem,
I do „Szopki" się udałem.
W „Szopce", bowiem jest co roku
Cały Rzeszów na widoku! (...)

WSZYSCY:

Nic już więcej nie dodamy!
Dziękujemy! Przepraszamy!

Maria Cecylia Guziołek

Dobry żart tynfa wart

Pogoń za pomysłem

2 stycznia br. w „Piwnicy" Zakładowego Domu Kultury WSK otworzyła swe wrota „Rzeszowska Szopka Satyryczna — 1969". Do szopy zaprosił Teatr Żywego Słowa „Meluzyna", zaprosił jak co roku o tej porze już po raz szósty. Publiczność też — jak co roku — dopisała. Publiczność życzliwa, serdecznie reagująca na celny żart, dobrze odtworzone obrazki z naszego rzeszowskiego życia, dobre aktorstwo. Tym razem braw gorących i wybuchów szczerego śmiechu przy otwartej kurtynie było tyle, że trudno zliczyć. Cóż, polubiliśmy te rzeszowskie szopki! Bawiła się publiczność, bawili się wykonawcy i chyba o to chodzi, by przynajmniej raz do roku popatrzeć na codzienność inaczej, trochę z przymrużeniem, to przez pryzmat ciętej to dobrodusznej satyry.

Przyznaję szczerze, że nie lubię premierowych przedstawień. Nimi rządzą prawa szczególne. Trema silniej dochodzi do głosu, sprawdzają się w konfrontacji ze słuchaczem — widzem założenia artystyczne lub nie. Niejedno później można wyretuszować, podkreślić, stonować...

Teatr Żywego Słowa „Meluzyna" przechodzi kryzys kadrowy. Bazował na studentach związanych w jakiś sposób z WSK. Ostatnie zarządzenia rektorów rzeszowskich wyższych uczelni zakazują słuchaczom brania udziału w zespołach estradowych nieuzależnionych. Na szczęście przed wydaniem tego zakazu Józef Jabłoński i Roman Konieczkowski — dwa filary „Meluzyny" zostali absolwentami WSI. Dzięki temu wydarzeniu „Meluzyna" istnieje i wystawiła „szopkę" w składzie osłabionym przez „ubytek" dwojga wytrawnych członków zespołu — studentów.

Szopkę „robi" więc czwórka „meluzyniarzy" z wdziękiem i humorem, przekształcając się w coraz to inne postaci lub zgoła tłum.

Niełatwe zadanie miał reżyser Erazm Buchelt. Ale nie z takiej opresji wyszedł on jak i zespół obronną ręką. Ograniczenie dekoracji w zasadzie tylko do skromnej kurtyny i zabawnej obudowy wejścia szopki „kamienami", z hasłami wywoływawczymi — tematami widowiska, wyeliminowanie kostiumów i markowanie postaci charakterystycznymi rekwizytami automatycznie wyeksponowało grę, zdolności aktorskie młodych wykonawców. Całej czwórce należą się duże brawa! Przedzierżganie się co parę minut w krańcowo inną postać za pomocą drobnego rekwizytu to wcale niełatwe zadanie dla zawodowych aktorów, a tu przecież grają amatorzy! Dodatkowym utrudnienem jest operowanie to słowem, to muzyką, to solową piosenką, duetem i zgoła chórem czy melorecytacją. Tu z niezawodną pomocą przychodzi aktorom Andrzej Listwan, autor szopki, a zarazem twórca oprawy muzycznej, który bardzo czujnie im akompaniuje, na — nota bene już nie najlepszym pianinie. (Stan instrumentów muzycznych w domach kultury i różnych świetlicach jest tematem do szopki w sam raz! Tak po kumotersku odstępują go gratis!).

O grze Romana Konieczkowskiego — pierwszego gwiazdora „Meluzyny" — pisało się już wiele. Każdy jego dalszy występ utwierdza zdania o jego zdolnościach scenicznych komika. Tym razem urzekał monologiem o „niebieskich ptakach", w którym całkowicie odbiegł od znanego stylu, był świetny!

Z dużą satysfakcją obserwuje się przekształcanie Marii Pasierb z szarego, miłego łabędziątka w efektowną łabędzicę. Udźwignęła cały ciężar reprezentowania płci pięknej w szopce z dużą swobodą, a postać sprzątaczka w jej interpretacji musi dojrzałością zwrócić uwagę.

Józef Jabłoński i Tadeusz Prcioch bodaj najlepiej czują się w roli sportowców. Może nie są aż tak wykrystalizowanymi indywidualnościami aktorskimi jak Maria Pasierb i Roman Konieczkowki, ale im nie ustępują.

„Rzeszowska Szopka Satyryczna 1969" jest debiutem autorskim Andrzeja Listwana. W ub. roku był współtwórcą szopki. Na swym koncie ma przygotowanie oprawy muzycznej licznych imprez.

Bezsprzeczną zaletą jest oparcie

Kartki z niedawnej przeszłości

Skrawek ziemi za Wisłą, naprzeciw Baranowa Sandomierskiego, z którego wyruszyła w styczniu 1945 r. wielka ofensywa zimowa Armii Radzieckiej jest wielokrotnie wspominany przez piszących na temat II wojny światowej historyków różnych krajów. Zachodnioniemiecki autor Juergen Thorwald w swojej książce „Es begann an der Weichsel" („Zaczęło się nad Wisłą") stwierdza, że największym i najbardziej niebezpiecznym radzieckim przyczółkiem mostowym nad Wisłą był przyczółek w rejonie Baranowa.

Mało znana jest historia powstania tego ważnego w dziejach II wojny światowej przyczółka. Pisała trochę na ten temat prasa (w tym także „Nowiny"), szerzej uwzględnił ten fakt Jan Sokół — „Skrzydło" w swej książce „Konspiracja nad Wisłą i Sanem", ale praca ta ze względu na mały nakład (niewiele ponad 4 000 egz.) jest mało dostępna. Toteż czytelników, których może zainteresować historia przyczółka baranowskiego, wspólne walki żołnierzy 1 Frontu Ukraińskiego i miejscowych partyzantów z oddziału BCh Ordyka — „Czernika" odsyłam do wydanej przez „Iskry" w dziewięćdziesięciotysięcznym nakładzie książki **Wojciecha Sulewskiego „Na partyzanckich ścieżkach"**, gdzie cały rozdział poświęcony jest tym właśnie wydarzeniom z lata 1944 roku.

Sulewski, historyk lubelski, były partyzant Armii Ludowej, poświęcił swą pracę walce oddziałów GL, AL i BCh na terenie Lubelszczyzny, Kieleckiego, dzisiejszej Rzeszowszczyzny oraz w innych częściach Polski południowej. Przez karty książki przewijają się nazwy słynnych oddziałów partyzanckich i pseudonimy ich dowódców, poznajemy z nich historię narodzin ludowej partyzantki na Lubelszczyźnie, opisy walk na Zamojszczyźnie, w Kraśnickiem, Puławskiem, Krasnystawskiem, w niektórych powiatach południowej Kielecczyzny, historię słynnej „Republiki Pińczowskiej", przebieg wspólnych bojów partyzantów polskich i radzieckich nad dolnym Sanem i Tanwią, w Puszczy Solskiej, Lasach Janowskich, Lipskich i Parczewskich.

Autor książki nie pretenduje do wyczerpania historii walk partyzanckich na tych terenach. Pisze o niektórych oddziałach i niektórych postaciach, starając się wiernie przekazać atmosferę tamtych dni i wysiłek partyzancki. Prezentuje czytelnikowi epizody z działalności ruchu oporu, epizody (z których każdy w rzeczywistości jest całą epopeją) stanowiące elementy składowe całej podziemnej działalności. Stąd fragmentaryczność niektórych rozdziałów, skupienie się na poszczególnych akcjach bojowych, choć wiele partii książki ukazuje także ogólniejszą historię poszczególnych oddziałów partyzanckich. Takie ujęcie sprawia jednak, że książkę czyta się lekko, z zainteresowaniem, nie zdając sobie nawet sprawy z ogromnej ilości informacji, jakie zawarł w niej autor.

Poza wspomnianym wyżej rozdziałem o baranowskim przyczółku (noszącym w książce — chyba niesłusznie — nazwę tarnobrzeskiego) praca Wojciecha Sulewskiego zawiera dwa inne, które zainteresują szczególnie rzeszowskiego czytelnika. Jeden z nich, zatytułowany „Porucznik Lipa" prezentuje wspaniałą postać bohatera chłopskiego ruchu oporu z rejonu Niska — Juliana Kaczmarczyka. Urodzony w Bielinach, wykształcony na Uniwersytecie Jagiellońskim, ten wiejski nauczyciel i radykalny działacz chłopski był organizatorem konspiracyjnej Straży Chłopskiej, a następnie oddziału BCh w powiecie niżańskim. W roku 1944 jego oddział wszedł w skład lubelskiej 1 Brygady Armii Ludowej. Kaczmarczyk zginął bohaterską śmiercią w walce z hitlerowcami w czerwcu 1944 r. pod wsią Graby. W innym rozdziale pt. „Sęp" z Podkarpacia" autor kreśli sylwetkę dowódcy oddziału Batalionów Chłopskich z powiatu gorlickiego Kazimierza Wątróbskiego — „Sępa" oraz opisuje wspaniałe wyczyny jego partyzantów w walce z Niemcami w latach 1943—1944.

W sumie „Na partyzanckich ścieżkach" jest lekturą bardzo interesującą, odsłaniającą — zwłaszcza przed młodym czytelnikiem — nieznane szerzej kartki z niedawnej historii zmagań naszego narodu z hitlerowskim okupantem. Nic więc dziwnego, że książka znalazła się w spisie lektur Ogólnopolskiego Konkursu Czytelniczego Związku Młodzieży Socjalistycznej. Zachęcając do jej przeczytania, proponujemy młodym czytelnikom wypowiedzi na temat zawartych w niej treści. Prosimy o ich nadsyłanie na adres: Redakcja „Nowin Rzeszowskich" Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. (Sz.)

Z pasją miłośnika o Bieczu

Mimo niezbyt zachęcającego tytułu „Produkcja i wymiana towarowa Biecza w XVI i XVII wieku" — sugerującego, że jest to praca o zawężonej tematyce, adresowana do wąskiego kręgu zainteresowanych historią gospodarczą naszych miast, nowa książka doktora TADEUSZA ŚLAWSKIEGO powinna zwrócić uwagę szerokiego kręgu czytelników, nie tylko miłośników historii regionu.

Praca T. Sławskiego wydana została, jako II tom Biblioteki Przemysłu przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Przemyślu pod redakcją **Antoniego Kunysza.**

Jest to edycja nie przynosząca ujmy naszym ambicjom lokalnym. Duża w tym zasługa wydawcy, jak i Rzeszowskich Zakładów Graficznych. Liczne stare sztychy, którymi zilustrowana jest książka, skorowidz nazwisk i miejscowości, ułatwiają czytelnikowi zgłębienie procesów w dziedzinie organizacji rzemiosła i jego produkcji, które przecież tak wielki wpływ miały na dynamizm rozwoju Biecza.

Tadeusz Sławski związany od dawna z Bieczem, z pasją miłośnika tego grodu, jego historii i zabytków, czemu dał wyraz w wielu rozprawach i artykułach, w swej nowej książce oparł się niemal całkowicie na źródłach archiwalnych wzbogacając nieliczną literaturę naukową o Bieczu, prężnym ośrodku ówczesnej ekonomiki Polski XVI-wiecznej.

Autor udostępnił czytelnikom nie tylko materiał oświetlający funkcję Biecza jako ośrodka produkcji i wymiany, ale również ukazał dziedzinę stosunków społecznych miasta. Z książki dowiadujemy się również o umysłowości i poziomie oświaty ówczesnego mieszczaństwa. Poczet interesujących postaci zwłaszcza wielkich kupców bieckich, ich działalność i koligacje oddają w pełni żywotny obraz miasta. Okazuje się, że mieszczanie bieccy chętnie korzystali z książek, np. Andrzej Kondrat, syn rzeźnika zdobył wyższe wykształcenie i stopień doktora. Przebywał dłuższy czas za granicą, gdzie dorobił się dużego księgozbioru.

Niemniej pasjonującą, choć zabawną lekturą są również umieszczone w książce teksty źródłowe: inwentaryzacje pośmiertne, testamenty, uchwały, taryfa cen.

Tak więc zasobna w faktografię praca T. Sławskiego, tak przydatna dla historyka wzbogaca również naszą wiedzę o jednym z najstarszych grodów w naszym województwie, którego przeszłość, jego zabytki tak urzekają współczesnych. (g.)

Nowa premiera

W dniu 16 stycznia br. w Państwowym Teatrze im. Wandy Siemaszkowej odbędzie się premiera komedii Hermana Bahra — „Koncert". Autor — powieściopisarz, krytyk i dramaturg austriacki z okresu monarchii ukazuje w komedii przygodę miłosną wielkiego pianisty, wirtuoza traktując ją z żartobliwym i ironicznym przymrużeniem oka. Mimo iż prapremiera „Koncertu" odbyła się w Wiedniu w roku 1909, sztuka zachowała do dziś świeżość wdzięk i aktualność. Spektakl reżyseruje zaproszona przez dyrekcję teatru Olga Koszutska. „Koncert" — Hermana Bahra przełożył na język polski Jacek Fruhling.

Dni Filmu Polskiego 1969

Pod kierownictwem zastępcy przewodniczącego Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie Mieczysława Kaczora w dniu wczorajszym odbyło się posiedzenie Komitetu Organizacyjnego „Dni Filmu Polskiego 1969". Dni zorganizuje kinematografia polska z okazji jubileuszu 25-lecia Polski Ludowej. W skład komitetu organizacyjnego weszli przedstawiciele Wydziału Kultury WRN, WKZZ, OSP, WZKin, CWF i Filmosu.

Na posiedzeniu omówiono plan imprezy filmowej pt. „Kinematografia polska w 25-lecie Polski Ludowej". M. in. przewiduje się ok. 20 premier nowych filmów, retrospektywne przeglądy najlepszych filmów, spotkania aktorów i reżyserów z publicznością oraz zgaduj-zgadule.

Dni Filmu Polskiego 1969 zainauguruje uroczysta premiera nowego filmu — epopei wojennej „Kierunek Berlin" 17 stycznia w kinie „Zorza" w Rzeszowie.

Na zdjęciu (od lewej): T. Pocioch, M. Pasierb, R. Konieczkowski, J. Jabłoński *Fot. J. OLMA*

tekstów na najładniejszych i najpopularniejszych bodaj melodiach ostatniego okresu. Aż chciałoby się podśpiewywać! Tematyka? Od najmodniejszego problemu — polskiego fiata przez różne sprawy dnia powszedniego. Zgodnie z hasłem naczelnym szopki „Prawdziwa krytyka cnoty się ne boi" (— ładna parafraza!) dostaje się każdemu i „drogowcom" za utrudnianie ruchu" kołowego, i dziennikarzom, i muzykom, i budowniczym i prokuraturze, i niebieskim ptakom, i...

Chociaż w nazwie szopka jest rzeszowska, to jest ona przede wszystkim szopką zakładową WSK. Problemy wytwórni są szopkarzom nie mniej dobrze znane niż miasta.

Efekty świetlne w szopce, podkreślające atmosferę stworzoną przez muzykę, słowo i artystów należą do Jana Chrzanowskiego, że z korzyścią dla szopki byłoby rzucanie ostrego światła w kilku przegadanych, przedobrzonych czasem trwania miejscach, by ołówek reżyserski sprawniej mógł działać dla lepszego zachowania proporcji problemów.

Całość wiąże poszukiwanie dobrego pomysłu, którym można by było rozwiązać sprawy utrudniające codzienne życie. Gdzie jest ten zbawienny pomysł? Dowiecie się oglądając szopkę.

„Rzeszowska Szopka Satyryczna — 1969". Tekst i oprawa muzyczna — ANDRZEJ LISTWAN, reżyseria — ERAZM BUCHELT, oprawa plastyczna — ALEKSANDER MIGAJSKI, światła — JAN CHRZANOWSKI.

Wykonawcy: MARIA PASIERB, JÓZEF JABŁOŃSKI, ROMAN KONIECZKOWSKI i TADEUSZ PRCIOCH. Akompaniament — ANDRZEJ LISTWAN.

KSIĄŻKI

HISTORIA KOMUNISTYCZNEJ PARTII ZWIĄZKU RADZIECKIEGO. Tom pierwszy **Utworzenie partii bolszewickiej 1883—1903.** KiW, s. 696, cena zł 60.

Na całość tej edycji złoży się sześć tomów opracowywanych przez zespół redakcyjny. Wydawcą całości jest Instytut Marksizmu-Leninizmu przy KC KPZR.

A. G. Spirkin: ZARYS FILOZOFII MARKSISTOWSKIEJ. Tłum. L. Smolińska, KiW, s. 652, cena zł 60.

Tom tłumaczony wg drugiego wydania w ZSRR. Po roli i historii filozofii — materializm dialektyczny i historyczny. Przejrzysty układ.

Janusz Reykowski: EKSPERYMENTALNA PSYCHOLOGIA EMOCJI. KiW, s. 566, cena zł 75.

Tak, jest już gałąź wiedzy i język opisujący nasze stany emocjonalne. O emocji w sposób naukowy, ale czytelny zarazem. Dorobek badań psychologicznych, dotyczących mechanizmu uruchamiania i działania emocji.

Witold Filler: TEORIE I PRAKTYKI PARYSKIEJ „KULTURY". MON, s. 92, cena zł 5.

Z cyklu „Ideologia — polityka — obronność" o emigracyjnej prasie, szczególnie o „Kulturze" — periodyku wydawanym w Paryżu za nie polskie, oczywiście, pieniądze. To pismo wydawane w języku polskim jest, podobnie jak radio „Wolna Europa", środkiem ideologicznej walki z naszym ustrojem.

LITERATURA NA ROZDROŻU. **Szkice polemiczne. Wyd. Literackie, s. 178, cena zł 18.**

Jest to wybór artykułów, jakie ukazywały się w okresie od października 1966 do września 1968 r. w „Miesięczniku Literackim". Łączy je w tematyczną całość próba przedstawienia i wytłumaczenia zjawisk, które wpłynęły na klimat, jaki panował w środowisku literackim w ostatnim roku w szczególności. Piszą m. in. Maciąg, Sokorski, Putrament, Kossak, Wasilewski.

Gyorgy Lukacs: TEORIA POWIEŚCI .Esej historyczno-filozoficzny o wielkich formach epiki. Przeł. J. Goślicki. PIW, s. 172, cena zł 15.

Tę napisaną w 1914 roku analizę trzech form powieści w literaturze zachodnioeuropejskiej oraz studium o strukturze świata w utworach Tołstoja uzupełnia szkic pióra Aliny Brodzkiej.

Walenty Kunysz. WESELE KRACZKOWSKIE. Wstęp i opracowanie M. Łesiów. Wyd. Lubelskie, s. 220, cena zł 20.

XII tom Lubelskiej Biblioteki Ludowej wiąże się integralnie z naszym województwem. Z Kraczkowej pow. Łańcut pochodzi Autor i z tej samej wsi zapisane wesele. Ważna pozycja folklorystyczna.

Anna Bukowska: SAINT-EXUPERY, CZYLI PARADOKSY HUMANIZMU. PIW, s. 196, cena zł 20.

Pierwsza to chyba polska monografia autora „Małego księcia". Ponadto kalendarium życia i twórczości oraz bibliografia.

Krystyna Kolińska: TAJEMNICE NA SPRZEDAŻ. Iskry, s. 268, cena zł 20.

Co wynika z listów, wspomnień, starych fotografii, plotek i anegdot? Otóż właśnie. Taka ciekawa książka o nieznanych faktach z życia Sienkiewicza, Tołstoja, Gąsiorowskiego, Przybyszewskiego, tajemnicach starych zamków.

Aleksander Dumas: NASZYJNIK KRÓLOWEJ. Adaptacja Henryka Andersa wg polskiego tłumaczenia Leona Rogalskiego. Wyd. Łódzkie. T. I—III, s. 248×272×276, cena całości zł 50.

W dużym 50-tys. nakładzie znana powieść Dumasa (ojca) z okresu Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

Andrzej Piwowarczyk: OTWARTE OKNO. Iskry, s. 358, cena zł 22.

Wznowienie ciekawej powieści kryminalnej, której akcja rozgrywa się w środowisku zbieraczy znaczków pocztowych. Kapitan Gleb ma tym razem trudną rolę do spełnienia. Kto zabił filatelistę? Jedna z najlepszych powieści Piwowarczyka.

Georges Simenon: ZNAJOMA PANI MAIGRET. Iskry, s. 168, cena zł 15. Srebrny Kluczyk.

Drukowana w „Nowinach Rzeszowskich" powieść kryminalna znanego francuskiego pisarza. W piecu centralnego ogrzewania u jednego paryskiego introligatora policja znalazła dwa ludzkie zęby. Czyje zwłoki zostały spalone? Kto jest sprawcą zbrodni?

Barbara Nawrocka: TAJEMNICZA KATARYNKA. Iskry, cena zł 6.

Pierwszy numer z cyklu „Powieść co miesiąc". Oczywiście powieść kryminalna. W małej podwarszawskiej miejscowości zginął człowiek w tajemniczych nieco okolicznościach. Śledztwo prowadzi MO...

Jan Szachułowicz: ODPOWIEDZIALNOŚĆ DELIKTOWA PRZEDSIEBIORSTW PAŃSTWOWYCH WPRAWIANYCH W RUCH SIŁAMI PRZYRODY. Wyd. Prawnicze, s. 144, cena zł 22.

Antoni Ferski: NALEŻNOŚCI ZA PODRÓŻE, DELEGACJE I PRZENIESIENIA SŁUŻBOWE W KRAJU I ZA GRANICĄ. **Poradnik. Stan prawny na dzień 1 lipca 1968 r.** Wyd. Prawnicze, s. 288, cena zł 25.

Jan Rezler: NAPRAWIENIE SZKODY WYNIKŁEJ ZE SPOWODOWANIA USZCZERBKU NA CIELE LUB ZDROWIU. (Według prawa cywilnego). Wyd. Prawnicze, s. 180, cena zł 23.

BIULETYN GŁÓWNEJ KOMISJI BADANIA ZBRODNI HITLEROWSKICH W POLSCE. Zeszyt XVIII. Wyd. Prawnicze, s. 198, cena zł 15.

W numerze m. in. Barbara Bojarska: Pacyfikacja w Leżajsku w dniu 28 maja 1943 roku — s. 80—94.

Kartki dla Ewy

SUBLOKATOR

Sądzą ludzie, że to stwór zaledwie człekokształtny, pełen małpiej złośliwości i uporu osła, obdarzony skórą hipopotama, gracją niedźwiedzia. Odmiana żeńska owego monstrum posiada dodatkowo tzw. kurzy mózg z racji, którego kontakt z nią jest szczególnie utrudniony.

Sublokatorzy — podobnie jak i inne żyjące istoty zwykle miewają potomstwo. Są to oseski, lub raczkujące pędraki wdzięcznie nazwane przez właścicieli mieszkań „rozwydrzonymi szczeniętami".

Zdania na temat skąd się sublokatorzy biorą z reguły są podzielone Niektórzy twierdzą, że są w prostej linii potomkami łysogórskich czarownic i opętują spokojnych posiadaczy nadmetraży. Inni zaś, studiując genealogię w prasowych anonsach traktują ich jak wybawców od zachłanności ORS-u i banków egzekwujących pożyczki.

Jedni i drudzy mimo zasadniczych różnic w kwestiach rodowodowych mają jednakowy system postępowania. Na wstępie są uprzedzająco grzeczni. Po prostu wcielenie bontonu. Składają się niczym nowiutkie scyzoryki, godzą się ze wszystkim. Wstęp do kuchni, oczywiście... Klucze od mieszkania, proszę bardzo. Kąpiel, przepierka, telefon, odwiedziny przyjaciół... naturalnie. Wszak należymy wszyscy do kategorii ludzi cywilizowanych. Jesteśmy życzliwi, u nas jak w rodzinnym domu. Pokoik milusi, nawet przed łóżkiem pamiątkowe, choć wyleniałe futerko z lamparta.

Wśród duserów, gołębiego gruchania i zapewnień o czułej koegzystencji impreza zostaje sfinalizowana. Z rączki do rączki, za roczek, półtora lub dwa lecl gotóweczka. Kilka, lub kilkanaście tysiączków — wszystko zależy od standardu. Inaczej w śródmieściu, naczej na peryferiach. Domek jednorodzinny, kamienica czynszowa, blok spółdzielczy... Wszystko zostało wycenione, odpowiednio wyśrubowane: tapczan, ślubne łoże nawet sprężyny z rozklekotanej kanapy. Chcesz mieć dach nad głową, płać, no i ludzie płacą. Trzeba gdzieś mieszkać, gdy się studiuje lub pracuje z dala od rodziny.

Myślałby kto, że za kilkanaście banknotów wpłaconych mieszkaniowym kontrahentom nabywa się specjalnych praw. Nic podobnego! Sublokator jest tylko klapą bezpieczeństwa dla domowej kasy. Poza tym musi zachowywać się jak mysz pod miotłą. Inaczej biada nieszczęsnemu — zaczyna się wojna podjazdowa o każdy drobiazg.

Człowiek nie może fruwać nad podłogą, ale musi jeść, słuchać radia, korzystać z... łazienki czasami nawet w nocy, spotykać się z ludźmi, chorować na grypę i cierpieć na bezsenność. Może wrócić nad ranem do domu, powiesić na ścianie portret sympatii i co dzień prać skarpetki.

Ludzie są różni: niszczą mahoniowe szafy i otwierają cudzą korespondencję, podsłuchują pod drzwiami, a o północy rzępolą na trąbie. Są złośliwi i nietolerancyjni. Każdy konflikt wynika z niezrozumienia potrzeb drugiego człowieka. W rozgrywkach sublokatorskich, bohaterem ringu jest zwykle właściciel mieszkania. Walczy zajadle i puchnie z dumy, gdy zwycięży, pokonując durnia, co mu zasilił kasę.

Bega

PS. P.K. Fundakowska — Jasło: Nie mamy możności studiowania w Międzynarodowej Szkole Ikebany, gdyż jest ona w Tokio. W Polsce istnieją szkoły projektowania zieleni miejskiej na poziomie technikum. Informacji udzieli Pani Wydział Oświaty PRN.

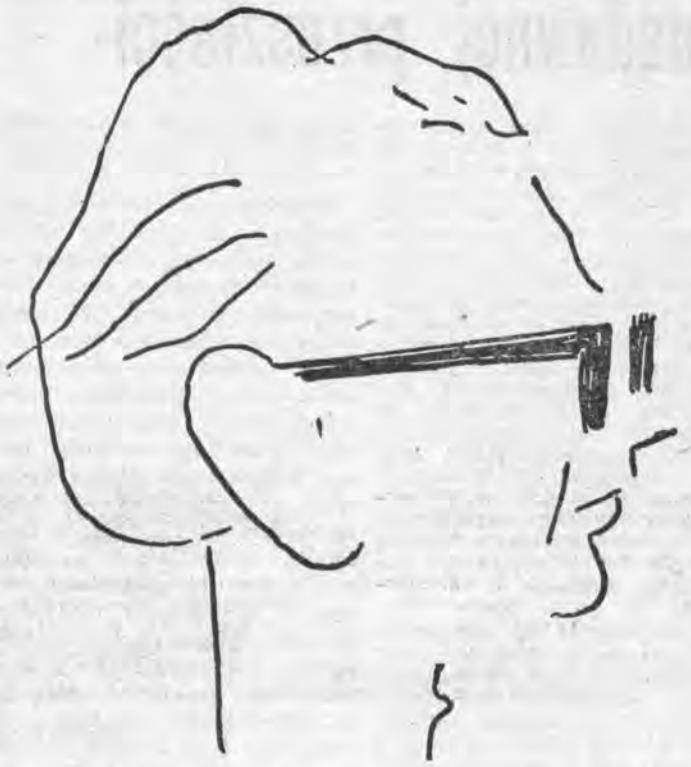

ANDRZEJ LISTWAN — autor Noworocznej Szopki Satyrycznej. *Rys. J. SIENKIEWICZ*

J. W. Bukowina: Nadesłane wiersze są zlepkiem rozmaitych oznajmień i obrazków nie związanych w jakąś logiczną lub emocjonalną całość. Brak w tych wierszach konstrukcji, brak zwartości myślowej — dominuje w nich niekontrolowane „słowiarstwo".

„Wysław" — Jarosław: W „Portrecie" nie ma Pan chyba nic do powiedzenia od siebie, z własnych wzruszeń i doznań. Erotyk jest wykoncypowany, „upoetyczniony" na siłę — brak mu szczerości i prawdy wewnętrznej. Stąd mnóstwo dziwolągów pseudoawangardowych, jak np. „Młotem chcę wykuć balsam, by znikła bladość Twej twarzy"..., lub „Ty miękkością swych palców kształtowałaś me serce, nieznośną twardą bryłę".

Koleżanki Ryszarda O.: Nie traktujemy poważnie listów, w których przysyła się nam cudze teksty i prosi o ich ocenę. Chcemy wykluczyć możliwość czynienia komuś złośliwych żartów. Autor może porozumieć się z redakcją bezpośrednio.

Ewa K. Czudec: To są takie sobie dziecinne rymowanki, wzorowane na wierszach z Płomyczka. Nie warto traktować tej zabawy poważnie.

„Wolkiera". Wiersz „Gwiazda" jest utworem żenująco naiwnym. Składa się z figur i obrazów budzących mimowolne rozbawienie dziwacznością skojarzeń („choinka nieba", „szloch dzikiego śniegu", „zadrzewione usta" itp.). Nie radzimy także „swoim sercem ocierać łez kwiatom i połykać długich noży"... Ta droga prowadzi w krainę absolutnego grafomaństwa.

ZDARZENIA TYGODNIA

Ostatnie plenarne posiedzenie Zarządu Okręgu PTTK w Rzeszowie zatwierdziło plan pracy na rok 1969, z którego wynika, że działalność ogniw organizacyjnych Towarzystwa będzie się koncentrować wokół hasła: „Rzeszowskie zaprasza", rzuconego w związku z obchodami 25-lecia powstania województwa rzeszowskiego.

Na program złożą się m. in. rajdy, zloty, zlazy turystyczne, konkursy fotograficzne i odczyty na tematy krajoznawcze, związane z osiągnięciami naszego regionu w okresie 25-lecia PRL. M. in. warto zaznaczyć, że rzeszowski Oddział PTTK podjął się organizacji konkursu na najlepszą fotografię o tematyce krajoznawczej a także rajdu „Szlakiem miejsc walk o wyzwolenie terenów woj. rzeszowskiego" Przewiduje się udział w nim ok. 2 tys. osób z całego kraju.

☆

W Rzeszowie odbyło się posiedzenie Rady Naukowej przemyskiej Stacji Naukowej Polskiego Towarzystwa Historycznego. Obrady, które prowadził przewodniczący Rady, a zarazem opiekun z ramienia ZG PTH prof. dr Stefan Inglot poświęcone były ocenie działalności w ubiegłym roku. Jak wynika, ze sprawozdania, złożyły się na nią prace naukowe zespołu historyków z woj. rzeszowskiego — oddane do druku, bądź będące w stadium opracowania, referaty, konsultacje i porady z zakresu historii regionalnej.

Podczas obrad mówiono także o niektórych trudnościach, jak np. z wydaniem pracy mgr W. Kaput, na łamach materiałów archiwalnych, dotyczących województwa rzeszowskiego, znajdujących się w archiwach i bibliotekach poza terenem województwa. Doc. dr Franciszek Persowski mówił o trudnościach lokalowych stacji, jak również o potrzebie zwiększenia kadry etatowej. Z aprobatą spotkała się propozycja wysunięta przez dr Franciszka Błońskiego w sprawie zorganizowania sesji naukowej rzeszowskich historyków poświęconej osiągnięciom woj. rzeszowskiego w okresie 25-lecia PRL.

☆

Ukazało się interesujące wydawnictwo Muzeum Okręgowego w Rzeszowie pt. „Prace i materiały z badań etnograficznych (Tarnobrzeskie)". Jest to pierwsze zespołowe opracowanie materiałów z prowadzonych przez Dział Etnograficzny Muzeum badań na terenie województwa rzeszowskiego, tzw. obozów naukowo-badawczych. Nie jest dziełem przypadku, że w pierwszej kolejności zajęto się regionami i ośrodkami etnicznymi Rzeszowszczyzny, w których tradycyjna kultura ludowa jest zagrożona przez postępującą industrializację, tj. północnych części województwa.

Publikacja zawiera m. in. krótki zarys historyczny terenów w widłach Wisły i Sanu, tzw. Puszczy Sandomierskiej pióra J. Rawskiego, reportaż historyczny Fr. Kotuli pt. „Wczoraj między Mokrzyszowem a Łęgiem w tradycji ludowej", St. Darlakowej „Zwyczaje i obrzędy doroczne oraz rodzinne w powiecie tarnobrzeskim". Wymienimy tu jeszcze kilka tematów, będących tematem publikacji, jak np. budownictwo wiejskie, stroje ludowe oraz literatura ludowa i folklor muzyczny.

W Muzeum Okręgowym w Rzeszowie czynna jest ciekawa ekspozycja, zatytułowana „Droga do chleba" obrazująca cały cykl produkcji zboża — od siewu do wypieku włącznie.

Na wystawie pokazano więc najstarsze narzędzia do mechanicznej uprawy roli, jak sochy, pługi oraz przedmioty służące do sprzętu zboża, jego przechowywania i przeróbki na mąkę.

Warto jeszcze zaznaczyć, że w druku znajduje się obszerny przewodnik po wystawie, przygotowany przez jej inicjatora i organizatora mgr Krzysztofa Ruszla.

Na naszym ekranie

WEEKEND Z DZIEWCZYNĄ

Dziewczyna jest partyzanckim sierżantem, weekend zaś, spędzany w jej towarzystwie przez młodego medyka, to kilkanaście godzin nerwowych i daremnych poszukiwań oddziału, który po krwawej rozprawie z Niemcami zaszył się w lasach, nie pozostawiając łącznika. Tak więc tytuł „Weekend z dziewczyną", sugerujący beztroską historyjkę z pewną dawką erotyki, ma tu znaczenie ironiczne.

Istotą tego kameralnego dramatu z czasów wojny jest konfrontacja dwóch postaw — czynnej i biernej. Dziewczyna reprezentuje tę pierwszą postawę. Przyjeżdża do miasteczka, by skłonić miejscowego lekarza, a raczej studenta medycyny udającego lekarza, do niebezpiecznej wyprawy do lasu, gdzie ukrywają się ranni partyzanci, którym bez jego pomocy grozi śmierć. Medyk początkowo odmawia, próbuje doradzać dziewczynie, by szukała pomocy gdzie indziej, ale ona nie wdaje się w dyskusje. Wymierzony w pierś mężczyzny pistolet sierżanta Anny zastępuje wszystkie argumenty.

Ta sztuczna, w samym założeniu sytuacja, bardzo umowny gest dziewczyny i równie umowny sposób reakcji jej partnera nie rażą, być może, w literackim opisie, ale na ekranie trącą fałszem, który ciąży później na całym filmie. Wprawdzie jeszcze bardziej sztuczne sytuacje i gesty, nawet jeszcze gorzej z punktu widzenia aktorstwa odtwarzane niż w „Weekendzie", nie budzą zastrzeżeń na przykład w westernach, ale konwencja westernu jest tak bliska bajce, że o prawdopodobieństwo nikt nie pyta. Byłoby to zapewne do przyjęcia i w filmie wojennym, zrobionym w stylu przygodowej opowieści, lecz nie w dramacie psychologicznym, do którego pretensje ma „Weekend z dziewczyną".

Analiza odmiennych postaw bohaterów, konflikty między nimi i wreszcie wewnętrzny przełom w młodym medyku, dokonujący się bardziej pod wpływem nagłego uczucia, niż dość lakonicznych rozmów z sierżantem Anną na temat patriotyzmu, honoru narodowego itd. — wszystko to jest przedstawione w sposób zbyt uproszczony i powierzchowny, by widownia mogła przeżywać dramat tych dwojga. Anna zresztą nie robi wrażenia człowieka rzeczywiście zaangażowanego w sprawę i działającego w imię jakiejś idei, lecz pod naciskiem obsesyjnego jak gdyby poczucia obowiązku. Tacy bohaterowie na ogół nie przemawiają zbyt silnie do wyobraźni widza, choć rzetelna analiza ich psychiki może być w filmie pasjonująca Niestety, psychologiczny portret Anny jest ledwie naszkicowany i to dość niepewną ręką. Już bardziej przekonywający jest może jej partner, ów medyk-oportunista, ale chyba tylko dlatego, że znajduje się on jak gdyby w cieniu dziewczyny, jest żywym tłem, na którym reżyser eksponuje jej nieugiętą postawę. Anna Ciepielewska i Krzysztof Chamiec nie mają w tych rolach zbyt wielkiego pola do popisu. Czują się w nich zresztą źle.

Snuje się w „Weekendzie" jeszcze kilka postaci, których obecność na ekranie nie jest niczym usprawiedliwiona, albo też budzi poważne zastrzeżenia. Są to nieco operetkowi Niemcy, którzy wcale nie przypominają groźnych okupantów i są to mieszkańcy trochę nierealnego miasteczka — m. in. jakiś smutny wesołek który nie wiadomo dlaczego zachowuje się początkowo jak konfident gestapo, by okazać się później zwykłym domokrążcą, oraz kilkunastoletni chłopak, który jest równie bojowy, co nierozgarnięty

Filmy ukazujące czasy wojny i okupacji są na pewno bardzo potrzebne. Wyrosłe pokolenie, dla którego okres ten jest tylko rozdziałem w podręczniku historii i które powinno jak najdokładniej, również poprzez sztukę, poznawać prawdę owych czasów. Film wojenny musi wzbogacać naszą wiedzę historyczną, dokumentować fakty znane z podręczników i z opowiadań ludzi starszych, przedstawiać bohaterów wojny w sytuacjach, które motywują ich czyny w sposób wiarygodny. Albo — jeżeli jest to przeznaczona dla młodzieży i dzieci opowieść przygodowa, której akcja toczy się w czasie wojny — film taki winien upowszechniać pewne wzorce postępowania. Niestety, „Weekend z dziewczyną" nie spełnia żadnego z tych postulatów.

CZESŁAW MICHALSKI

„Weekend z dziewczyną" — film produkcji polskiej, reżyserii Janusza Nasfetera. Scenariusz — Janusz Nasfeter i Edmund Niziurski. Zdjęcia — Antoni Nurzyński. Muzyka — Waldemar Kazanecki. Występują: Anna Ciepielewska, Krzysztof Chamiec, Czesław Roszkowski, Lech Ordon, Krzysztof Litwin, Krystyna Feldmann i inni.